



MEDYK BIAŁOSTOCKI



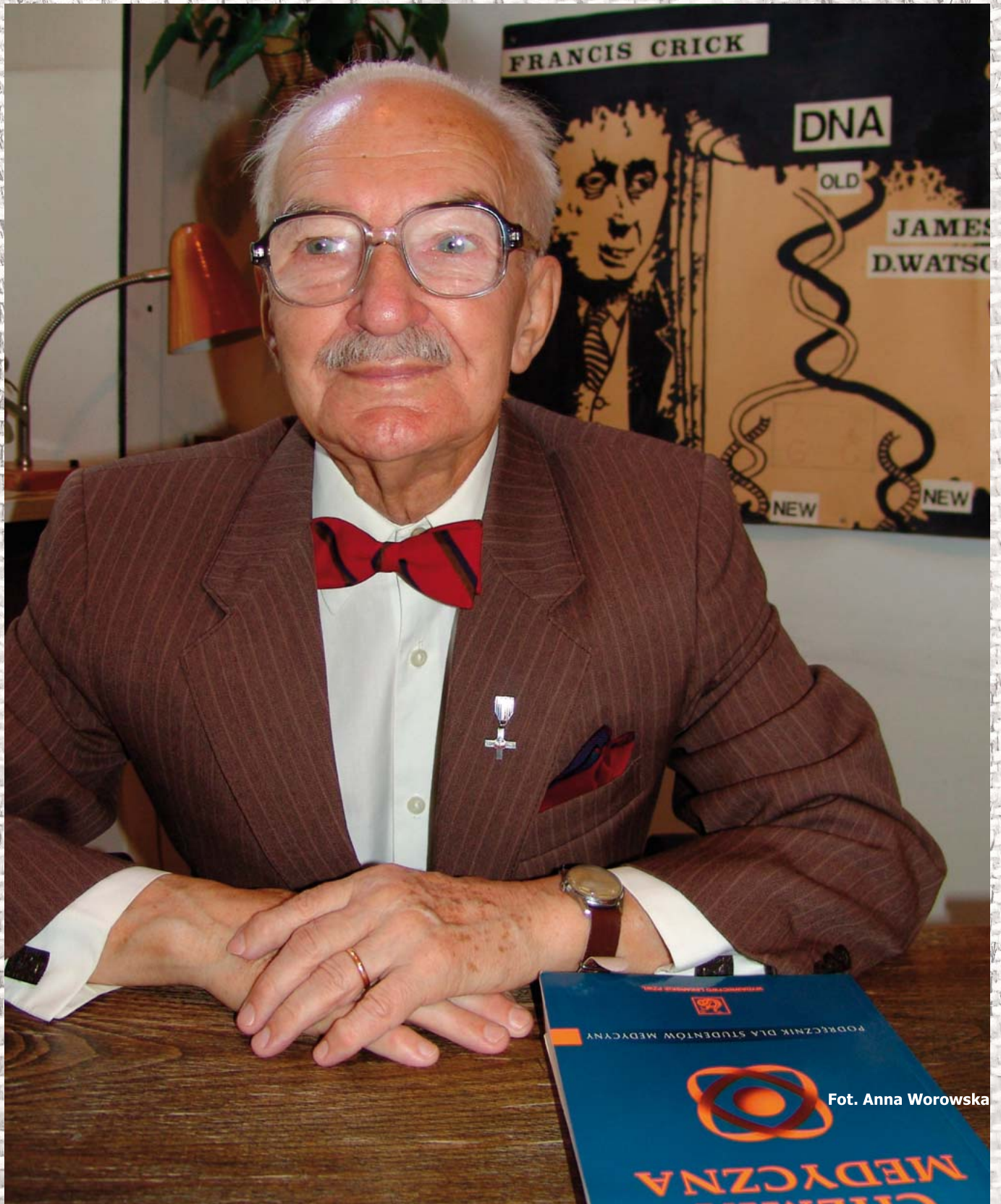
MIESIĘCZNIK BIAŁOSTOCKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ

www.amb.edu.pl

NR 1(48)

BIAŁYSTOK STYCZEŃ 2007 R.

ISSN 1643-3734

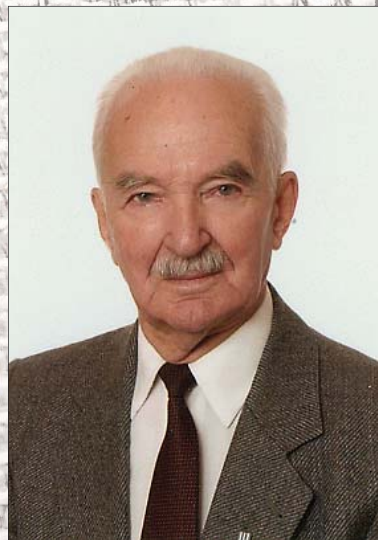


Fot. Anna Worowska

W NUMERZE



Pozegnanie prof. Tamary Samkowicz-Jelisiejew



Brawurowa ucieczka z obozu na Majdanku prof. Władysława Gałasińskiego



Pętla na profesorskiej szyi, czyli spostrzeżenia prof. Zenona Mariaka



O serdecznym kardiologu Janie Kazimierzu Kwoczyńskim – pisze Andrzej Wincewicz



W dorzeczu rzeki Supraśl, fot. i tekst Anny Worowskiej



Sen o przeszłości – Majątek Dołubowo w relacji Magdaleny Grassmann

Od redaktora	str. 3
Doctor Honoris Causa AMB	
Prof. dr hab. Władysław Gałasiński.....	str. 4
Rozmowa miesiąca	
Gdzie tu bohaterstwo, proszę pani...?	str. 5
Wystąpienie Prof. Władysława Gałasińskiego.....	str. 9
Spotkamy się kiedyś, Tamaro	str. 11
Ostatnia podróż	str. 12
Lekarski Egzamin Państwowy.....	str. 12
XXXVI Olimpiada Biologiczna 2006/2007	str. 12
Ze szpitali klinicznych	
System profesorski, czy biurokratyczny?.....	str. 13
Betonowych butów ciąg dalszy	str. 15
Wieści z biblioteki	
Link Source i lista A to Z.....	atr. 15
55-lecie Chóru AMB.....	str. 16
Temida i eskulap	
Oświadczenie na wypadek utraty przytomności.....	str. 16
Zjazdy, konferencje, Sympozja	
O narzędzie słuchu warto posłuchać.....	str. 18
Wigilijne spotkanie ostatniego z muszkietierów	str. 18
Rok pracy w nieludzkim mieście	str. 20
Wspomnienia i refleksje	
Wielki format.....	str. 21
Przekąski wspomnień.....	str. 22
Z historii nauk biomedycznych	
O serdecznym kardiologu.....	str. 24
Rzeki Podlasia	
Otoczona Puszcza	str. 25
Dworskie opowieści	
Wyścig z czasem.....	str. 26
Miasta naszego regionu	
Z sokołem w herbie	str. 28
Mięsopest, czyli karnawałowe ceremoniały	str. 30
Aktualności, wydarzenia,	
nominacje, listy	str. 32

*Materiały do numeru przyjmujemy
do dn. 10 każdego miesiąca.*

Skład redakcji:

Redaktor naczelny: Lech Chyczewski • **Zastępca redaktora naczelnego i kronikarz:** Krzysztof Worowski • **Sekretarz redakcji:** Danuta Ślósarska • **Członkowie:** Alina Midro, Wiktor Łaszewicz, Ilona Lengiewicz, Anna Worowska, Adam Hermanowicz, Joanna Kruszewska, Magdalena Grassmann, Wojciech Sobaniec • **Współpracownicy:** Jan Pietruski, Wojciech Dębek • **Redakcja stylistyczna:** Aleksandra Ślósarska • **Korekta:** Mieczysław Sopek • **Skład komputerowy:** Michał Żeleznikowicz • **Strona internetowa:** Andrzej Bortacki

Druk:

Zakład Poligraficzny ABIS, 15-227 Białystok, ul. Zwierzyniecka 72, tel. 0 695 487 014

Adres redakcji:

Biblioteka Główna Akademii Medycznej, 15-089 Białystok 8, ul. Kilińskiego 1, tel. (085) 748 54 85 (Danuta Ślósarska), e-mail: danka@amb.edu.pl e-mail: medyk@amb.edu.pl, <http://www.amb.edu.pl>

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania tekstów oraz zmiany ich tytułów.



OD REDAKTORA



Na początku tego roku pożegnaliśmy znanego pisarza, świtowej sławy reportera Ryszarda Kapuścińskiego. Wspomnienie o zmarłym autorstwa Agnieszki Kamińskiej przeczytacie Państwo w bieżącym numerze *Medyka*. Agnieszka wielokrotnie gościła w domu pisarza. Poznała go z racji pracy nad doktoratem, w którym zajęła się jego twórczością. Dewizą Kapuścińskiego było stwierdzenie, że największym grzechem jest nie wiedzieć. Jeszcze większym ukrywanie prawdy.

Ostatnio spotykam się ze starszymi kolegami z pierwszego rocznika naszej Akademii. Wspólnie pracujemy nad monografią poświęconą powstaniu białostockiej uczelni medycznej i jej pierwszym absolwentom. Ta podróż w przeszłość staje się coraz bardziej fascynująca. Niemal tak samo fascynująca, jak Ryszarda Kapuścińskiego „Podróże z Herodotem”, w których reporter – podróżnik sięga do własnej przeszłości. Dokumenty wygrzebane z uczelnianego archiwum nie kłamią. Z korespondencji osób wyrzuconych ze studiów, protokołów z zebrań partyjnych, wycinków prasowych wyłania się obraz tamtych czasów. Obraz smutny i ponury, pełen dramaturgii, nierzadko groteskowy. Od następnego numeru *Medyka* postanowiliśmy materiały te drukować w *Medyku*. Zdajemy sobie sprawę, że padnie nie jeden mit. Uwarunkowania historyczne i ówczesne realia tłumaczą wiele. Z dokumentów wyłania się cała gama zachowań i postaw ludzkich. Niepokój partyjnych aktywistów o „wileńsko – kresową atmosferę” panującą na uczelni. Relegowanie trójki studentów za chodzenie w kapeluszach i demonstrowanie przyjaźni poprzez wspólne przebywanie. Takie były realia tamtych czasów.

Do pierwszych absolwentów AMB należała ś.p. Tamara Samkowicz – Jelisiejew. Odeszła od nas nagle, pod koniec stycznia bieżącego roku. Jeszcze kilka miesięcy temu, kolejny raz, próbowałem namówić panią profesor na napisanie wspomnień. Była niechętna. Ta nieufność jest dla mnie zrozumiała. Urodziła się na utraconych kresach. Była po wojenną repatriantką. Jako wybijająca się studentka nowo powołanej AMB, otrzymała dyplom lekarza nr 2. Całe życie związała z Akademią i Zakładem Anatomii Prawidłowej, któremu przez wiele lat szefowała. W bieżącym numerze dr Teresa Kurowska – absolwentka pierwszego rocznika AMB – ciepło wspomina zmarłą koleżankę ze studiów. Nie spodziewana śmierć prof. Jelisiejew uzmysłowiła mi, że z opracowaniem monografii trzeba się śpieszyć. Jej bohaterzy, świadkowie początków Akademii, albo już odeszli, albo będą odchodzić. Takie są prawa natury i nie da się ich obejść.

Jednym z pierwszych pracowników naszej uczelni był prof. Władysław Gałasiński. Profesor, pod koniec grudnia ubiegłego roku, został uhonorowany tytułem doktora honoris causa naszej Alma Mater. Nie do końca byłem świadomy, że ten skromny, niepozorny człowiek, którego wielokrotnie pozdrawiałem, mijając w parku pałacowym, ma tak niezwykły życiorys. Więzień Majdanka, inicjator i organizator udanej ucieczki z obozu, uczestnik powstania warszawskiego, spełniony naukowiec z niezaprzedalnymi osiągnięciami, wychowawca wielu pokoleń studentów i młodych pracowników, organizator farmacji aptecznej i jej pierwszy dziekan mimo swoich 85 lat, jest w dalszym ciągu pełen życia i wigoru. Jest człowiekiem niezłomnym i charakteryzuje go niesamowity upór. Ostatnio napisał oryginalny podręcznik dla studentów z zakresu chemii. Wymaga od innych, ale przede wszystkim siebie stawia wysoko poprzeczkę. Profesor z wykształcenia jest farmaceutą. Recepty nie są mu obce. A czy ma receptę na życie dla młodych ludzi? Odpowiedź znajdziecie Państwo w obszernym wywiadzie, jaki przeprowadziła z doktorem honoris causa Danuta Ślósarska. Panie Profesorze, proszę przyjąć od redakcji *Medyka Białostockiego* gratulacje i najlepsze życzenia. Oby jak najdłużej był Pan z nami!

Doctor Honoris Causa AMB

Prof. dr hab. Władysław Gałasiński

*Magnificencjo!
Wysoki Senacie!
Dostojni Goście!*

Mam ogromny zaszczyt wygłoszenia laudacji Profesora Władysława Gałasińskiego, który decyzją Wysokiego Senatu został wyróżniony godnością Doctor Honoris Causa Alma Mater Bialostocensis.

Profesor Gałasiński związany jest z Akademią Medyczną w Białymstoku od ponad 50 lat. Jego działalność i zasługi dla uczelni, regionu i nauki polskiej są znane społeczności akademickiej. Głosząc laudację, pozwól sobie przytoczyć najważniejsze z tych, które składają się na ocenę sylwetki i autorytetu tego człowieka.

Władysław Gałasiński urodził się 27 czerwca 1922 r. w miejscowości Siennica Giza w województwie białostockim. Tuż przed wybuchem wojny w 1939 r. zmarł jego ojciec. Jako najstarszy z rodzeństwa przyjął na siebie obowiązek utrzymania owdowiałej matki, dwu braci i siostry. Wojna przerwała też jego naukę w Gimnazjum mat.-przyr. im J. Piłsudskiego w Białymstoku.

W okresie niemieckiej okupacji, w lutym 1942 r., wstąpił do Związku Walki Zbroj-

nej, przekształconym później w Armię Krajową. Aresztowany w styczniu 1943 r. był więziony w Białymstoku, a następnie w Obozie Koncentracyjnym na Majdanku w Lublinie.

W marcu 1944 r., jako pomysłodawca i współorganizator ucieczki, wraz z ośmioma współwięźniami wydostał się kanałami kanalizacyjnymi poza druty obozu. Po ucieczce przebywał pod opieką miejscowej organizacji AK w Krzczonowie koło Lublina, a w połowie maja przedostał się do Warszawy. Po wybuchu Powstania Warszawskiego, z Grochowa trasą przez Choszczówkę, przeprowił się przez Wisłę (k. Burakowa) i przedostał się do Puszczy Kampinoskiej, gdzie został wcielony do kompanii ckm partyzanckiego oddziału AK zgrupowania „Kampinos”. Po upadku Powstania oddział zgrupowania „Kampinos” został okrążony, zaatakowany przez Niemców i zmuszony do wycofania z Puszczy.

Po ofensywie styczniowej, Władysław Gałasiński piechotą wrócił do Warszawy, a po kilku dniach wyruszył do Białegostoku. W domu znów otoczył opieką matkę i rodzeństwo. Jako osoba pracująca, w 1949 r., ukończył Liceum dla dorosłych.

W tym samym roku rozpoczął studia na Wydziale Farmaceutycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Po ukończeniu studiów w 1953 r., z dyplomem magistra farmacji, podjął pracę w Zakładzie Chemii Fizjologicznej Akademii Medycznej w Białymstoku na stanowisku asystenta.

W roku 1959 W. Gałasiński zainteresował się biochemią kwasów nukleinowych i w tym zakresie odbył kilkumiesięczny staż naukowy pod kierownictwem prof. dr. Kazimierza Zakrzewskiego w Zakładzie Biochemii Instytutu Hematologii w Warszawie.

W latach 1963 – 1964 r. odbył staż naukowy w Instytucie Badań Jądrowych „Boris Kidrich” w Winči koło Belgradu, gdzie pracował nad metabolizmem kwasów nukleinowych i adaptacją enzymatyczną. Po powrocie do kraju w 1964 r. obronił na Akademii Medycznej w Warszawie pracę doktorską pt. „Badania nad kwasami nukleinowymi drożdży” i uzyskał stopień naukowy doktora farmacji. W tymże roku został mianowany adiunktem Zakładu Chemii Fizjologicznej AM w Białymstoku.

cd. na str. 8 ⇨



Rozpoczęcie uroczystości nadania doktoratu honoris causa AMB prof. Władysławowi Gałasińskiemu.



Profesor Jerzy Pałka, dziekan Wydziału Farmaceutycznego AMB, odczytuje laudację.

Gdzie tu bohaterstwo, proszę pani...?

Z prof. **Władysławem Gałasińskim**,
doktorem honoris causa AMB, rozmawia Danuta Ślósarska.



Panie profesorze, czy uczono pana w szkole patriotyzmu ?

Patriotyzm w czasie mojej młodości był wynikiem wychowania w domu, w szkole, w harcerstwie. Nie było jakiegoś specjalnego przedmiotu, nie było też używania wielkich słów, a i tak, my młodzi, wiedzieliśmy co do nas należy. Cieszyliśmy się z odzyskania niepodległości do tego stopnia, że gdy Piłsudski jechał z Warszawy do Wilna, przy torach kolejowych na łące, tworzył się kilkukilometrowy szpaler młodzieży i rodzin z dziećmi. Godzinami czekaliśmy w nadziei, że może chociaż nam pokiwa ręką na powitanie. Nikt nam nie kazał.

Czy popiera pan pomysł wprowadzenia lekcji patriotyzmu w szkołach ?

Po 45 latach socjalizmu patriotyzm wymaga odświeżenia. Nie wiem jak to rozwiązać i jak się do tego zabrać, ale wiem, że trzeba to zrobić. Nie wiem, czy zmian nie należy zacząć od nauczycieli, bo, oprócz tych naprawdę godnych swojej profesji, jest wielu takich, których niewiele obchodzi. Postawa patriotyczna mojego pokolenia kształtowała się w innej rzeczywistości, niestety dziś, zanim patriotyzm wejdzie nam w krew i stanie się czymś naturalnym, potrzebny jest konkretny program.

Krzyż przypięty do klapy pańskiej marynarki to ... ?

...to Warszawski Krzyż Powstańczy „Powstańcom Warszawy”. Byłem uczestnikiem Powstania, zostałem wcielony do kompanii ckm partyzanckiego oddziału AK zgrupowania „Kampinos”.

Ale wcześniej był pan więźniem obozu koncentracyjnego na Majdanku.

Na Majdanek zabrano mnie z więzienia. Zostałem aresztowany 19.01.1943 r. przypadkowo, gdy Niemcy przyjechali po sąsiada, który zarobkowo trudnił się wymianą marek, będących środkiem płatniczym tylko na terenach przyłączonych do Rzeszy, na marki obowiązujące od zawsze w Rzeszy. Przestraszyłem się, bo miałem lewe papiery dotyczące zatrudnienia i za-

cząłem uciekać. Nie udało się, zabrali mnie do siedziby SD [siedziba policji – od red.] przy ul. Warszawskiej 50. Poddano mnie przesłuchaniom. Ponieważ upierałem się, że dokumenty kupiłem na bazarze, przyprowadzali mi co rusz ludzi i kazali identyfikować. Miałem szczęście, bo gerbaiter, który mnie przesłuchiwał nie stosował przemocy fizycznej, ale psychicznie i tak mnie wykańczał.

Ile czasu spędził pan na Warszawskiej?

Trzy i pół miesiąca. W ciasnej, ciemnej celi, bo dochodziło tam tylko światło z korytarza, siedziało kilka osób. Panował straszny zaduch. Spaliśmy na drewnianych pryczach, raz dziennie wyprowadzano nas na spacer i raz dziennie dawano nam zupę z brukwi. Pamiętam, że podawano ją w żardzewiałych, obrzydliwych, czarnych blaszankach.

Na początku maja przewieziono mnie do więzienia i ulokowano w kilkunastuosobowej celi na piętrze, skąd przez okno, które wychodziło na dziedziniec mogliśmy obserwować wywózki ludzi na miejsce straceń, m.in. do Nowosiółek, do Grabówki.

Nawet trudno mi wyobrazić sobie co pan wtedy czuł ?

Białem się! Tylko głupiec się nie boi. Człowiek, który myśli boi się zawsze. 28 lipca 1943 roku, razem z więźniami z innych cel, załadowano mnie do ciężarowego samochodu. Z przodu i z tyłu konwoju jechali uzbrojeni Niemcy. Ponieważ na drogę otrzymaliśmy po kromce chleba, uczepiliśmy się nadziei, że może nie pojedziemy do piachu. Nagle, gdy wjechaliśmy w tunel pod torami kolejowymi, ludzie zaczęli krzyczeć, histeryzować, że jedziemy do Nowosiółek. ... Ale po co ja to pani opowiadam ...?

....bo to ciekawe, panie profesorze.

Tym razem uniknęliśmy złego losu. Zamiast do Nowosiółek, skręciliśmy w prawo. Zawieziono nas na rampę towarową i załadowano do wagonów towarowych. W trzech wagonach było blisko 150 osób. Z Warszawy, po długim postoju, ruszyliśmy

w kierunku Lublina. Rano,

już na miejscu, po opuszczeniu wagonu, zaszokował mnie okropny widok. Na placu, półnaczy, wynędzniali ludzie, nosili kamienie i brukowali teren. Był to widok przypominający czasy starożytnego niewolnictwa. Wkrótce nas też miał spotkać podobny los. Ustawieni w kolumny i poganiani przez esesmanów ruszyliśmy szosą w kierunku Zamościa. W dalszym ciągu nie wiedzieliśmy, dokąd idziemy.

Wtedy nie wiedział pan nic o Majdanku?

Wiedziałem o obozie w Oświęcimiu, ale o tym akurat niewiele. Wkrótce ukazały się przed nami liczne baraki Majdanka. W pobliżu łaźni kazano nam się rozebrać, zostawić rzeczy osobiste i zapędzono nas pod prysznicę. Słychać było tylko okrzyki „schnell, schnell”. Z prysznicą nawet nie skorzystaliśmy. Tempo było za duże. Wtedy nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co się mogło wydarzyć podczas mycia. Potem wydano nam cywilne ubranie oznakowane literami KL. Pasiaków już zabrakło. Skierowano nas na IV pole i umieszczono w baraku, blok nr 6. Normalnie w baraku mieściło się około 120 osób, nas było wielokrotnie więcej. Po kilku tygodniach się rozluźniło. Tyfus, dyzenteria, zrobiły swoje.

Czy to jest ten moment, kiedy pojawia się załamanie ?

W takich warunkach człowiek się po prostu dostosowuje i myśli o przetrwaniu. Gdybym od razu trafił do obozu byłoby mi na pewno trudniej, ale ja już miałem jakieś doświadczenie. W obozie najbardziej dokuczał nam brak wody, brud, piach do kostek, upały i dyzenteria. W ciągu dnia chodziło się po trupach.

Kiedy pojawiła się myśl o ucieczce?

Pierwszą pracę w obozie wykonywałem przy budowie strzelnicy dla esesmanów. Nosilem piach razem z takim starszym czło-

cd. na str. 6 ⇨

⇐ *cd. ze str. 5*

wiekim, chyba Gruzinem, ale dobrze mówiącym po polsku. Był on człowiekiem bardzo gadatliwym. Pewnego razu opowiedział mi historię o ucieczce więźniów kanałami, która zdarzyła się gdzieś we Francji. Tak mi jakoś ta opowieść utkwiała w pamięci, że cały czas o tym myślałem. Pewnego razu spostrzegłem za strzelnicą studzienkę. Robiłem wszystko w ciągu dnia, aby choć na chwilę się przy niej znaleźć. Nawet przez moment pomyślałem, że to może być droga mojej ucieczki.

Przyszła jesień. Po ukończeniu budowy strzelnicy przydzielono mnie do komanda Gertneri (ogrodnictwo), gdzie, w kotłowni pod cieplarnią, pełniłem obowiązki palacza. Cieplarnia znajdowała się na terenie, przez który biegła kanalizacja. Chodziłem więc, liczyłem studzienki, mierzyłem odległości między nimi i obserwowałem, jak biegnie trasa kanalizacji za drutami. Myśl o ucieczce zaczęła się krystalizować.

Samotnej ucieczce ?

Pierwszą osobą, której zaproponowałem współudział był Edek Kundzicz, kolega z białostockiego więzienia. Dziś już nie żyje. Nawet nie chciał słyszeć o moim pomysle. Uważał, że Niemcy zrobili zasadzkę. Przeszła zima. Wczesną wiosną zostałem przeniesiony do pracy w kompostowni. Tam poznałem dwóch młodych mężczyzn. Robert Skrzypczak i Stefan Drozd należeli do grupy więźniów określanych jako szczególnie niebezpieczni. Zacząłem ich bacznie obserwować. Przychodzili do pracy zmęczeni, niedospani. Potem, kiedy już bliżej się poznaliśmy i mogliśmy sobie zaufać, przyznali się, że próbowali nocami sprawdzać czy istnieje możliwość wydostania się z obozu pod drutami. Zawsze jednak byli dostrzeżeni z wieżyczek i ostrzelani. Gdy opowiedziałem im o swoim projekcie od razu się go uchwycili. Nie mieli nic do stracenia.

Tajemnica, którą zna więcej niż jedna osoba, przestaje być tajemnicą.

Dlatego stwierdziłem, że nie ma na co czekać. Ucieczkę zaplanowałem na poniedziałek. Wcześniej już miałem przygotowane

ubranie cywilne i piłkę do przecinania krat. Przechowywałem je pod drewnianą podłogą, w składziku sprzętu ogrodniczego. Po wieczornym apelu dowiedziałem się, że Robert i Stefan zdradzili plan jeszcze trzem osobom: panu Sarzyńskiemu, Cabanowi i Iwankowi. Niebezpieczeństwo dekonspiracji zrobiło się ogromne.

Rano u dziadka, bo tak nazywaliśmy Sarzyńskiego, umówiliśmy się na naradę. Sarzyński, jako doświadczony przedwojenny podoficer kawalerii i najstarszy z nas, objął dowództwo. Czując się odpowiedzialnym, wymyślił aby jeden z nas poszedł ustaloną drogą na zwiady. Natychmiast podjął się tego Caban – partyzant. Zorientowałem się czym

to grozi i oświadczyłem, że idę z Kołą. Dziadek zrozumiał moją intencję

i natychmiast wycofał swoją propozycję.

Nie ufaj pan Cabanowi ?

Nikt normalny nie odważyłby się wrócić, a poza tym ucieczka tuż przed porą obiadową byłaby wielkim błędem i zakończyłaby się katastrofą.

Poszliśmy do studzienki koło strzelnicy. Kola wszedł do środka, aby sprawdzić stan krat, a ja stałem na czatach. Niedaleko były druty i chodzili Niemcy. Było bardzo niebezpiecznie. Po dwóch minutach Kola wyszedł i powiedział: „żał było wychodzić”. W porze obiadowej zaproszono nas do bloku, w którym spotkaliśmy się z Tadkiem Czajką, Witkiem Piątkowskim i Heńkiem Srebrzyckim (Zilberszpicem – spolonizowanym Żydem). Zнали oni dobrze język niemiecki więc pełnili odpowiednie funkcje: blokowego lub szrajbera. Bardzo skrytykowali nasz pomysł, twierdząc, że to samobójstwo. Życzyli nam jednak szczęścia.



*Krzyż Kawalerski
Polonia Restituta.*



*Krzyż Armii
Krajowej.*

To ile osób liczyło na szczęście ?

Sześć. Poszliśmy dwójkami. Najpierw Kola i Robert – młody i silniejszy chłopak, potem ja z Dziadkiem, a na końcu Dziadek z Iwankiem. Gdy jedni wchodzili drudzy obserwowali teren. Po 20-30 metrach czołgania się rurami o średnicy 60 cm w brudzie, błocie, gównie, zaklinałem się, Nie byłem w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Ogarnęło mnie przerażenie. Zacząłem się na głos modlić. Jakoś udało mi się ruszyć.

Oj nie, nie będę tego dalej opowiadał. Całą tę ucieczkę opisał Tadek Czajka w książce „Czerwone punkty” oraz Mikołaj Caban w książce „Powrót z rzeki Styks”.

Było zimno panie profesorze ?

To był marzec. Na dworze panował mróz, a w środku przeogromny smród. Gdy zbliżałem się do trzeciej studzienki nagle usłyszałem, że przede mną coś chlupnęło. Zamarłem z przerażenia. Okazało się, że Dziadek, czuwający przy tej studzience, upozorował spadnięcie do niej czapki. Wszedł do studzienki i w ten sposób skrócił sobie trasę czołgania się o około 150 metrów. W studzience, znajdującej się na około osiemsetnym kilometrze przebytej trasy

czekali na nas Kola, Robert i Dziadek. Przeżyliśmy chwile zgrozy. Poprzednie studzienki były luźno przykryte betonowymi płytami. Tu panowała ciemność, więc podejrzewaliśmy, że studzienka jest hermetycznie zamknięta. Dziadek zaproponował, aby Robert spróbował podnieść nieznacznie pokrywę. Udało się. Jego oczom ukazały się buty kroczonego esesmana-wartownika... Studzienka była na granicy drutów. Cicho ruszyliśmy do przodu. Gdy zbliżałem się do studzienki, znajdującej się w odległości około 50 metrów za drutami i przewidzianej jako kończącej czołganie, dotarło do mnie rozpaczliwe wołanie Drozda: „Brak mi sił, topię się”. Przyspieszając, dojrzałem do studzienki, a Robert wszedł przodem do rury i jakoś pomógł wydostać się z niej Stefanowi.

Studzienka, którą zdecydowaliśmy się opuścić kanalizację znajdowała się w dzielnicy Lublina, zwanej Dziesiątą. Blisko były

pierwsze zabudowania. Esesmani pilnujący obóz byli zwróceny w jego kierunku, więc niezauważeni mogliśmy kolejno, w odstępach, opuszczać studzienkę. Weszło nas sześciu, a tu nagle patrzę z rury wychodzi siódmy (Czajka), potem ósmy (Piątkowski), potem dziewiąty (Srebrzycki). To byli ci, którzy nas najpierw zniechęcali do ucieczki. Korzystając z przepustek, wyszli poza IV pole z zamiarem obserwowania naszej akcji. Poszli za nami.

Co było dalej ?

Doszliśmy do pierwszych chałup. Ludzie witali nas radośnie, ale prosili abyśmy szli dalej. Bali się. Stefan Iwanek ulotnił się, poszedł sam, bo znał dobrze teren. Potem, gdy pisał do mnie listy zawsze określał ten dzień, jako dzień naszego zmartwychwstania. My, chociaż byliśmy w bardzo złej kondycji, zmęczeni, głodni, z poobdzieranymi kolanami i łokciami, szliśmy dalej. Gdy zbliżyliśmy się do Dąbrowy Leśnej usłyszeliśmy syreny obozowe. Uciekaliśmy dalej przez las, a właściwie przez krzaki. W końcu prowadzeni przez Piątkowskiego dotarliśmy do znanej mu wsi. Tam nas nakarmiono i zasnęliśmy.

Po godzinie gospodarze obudzili nas. Zbliżał się pościg ze szczekającymi psami. Zrobiło się niebezpiecznie i musieliśmy uciekać. Dotarliśmy do gajówki. Gajowy ostrzegł nas, że często wpada do niego gestapo, gdyż w okolicy grasuje grupa ukrywających się Żydów. Mimo wszystko zostaliśmy. Musieliśmy odpocząć. Żona gajowego ugotowała nam kartoflanki. O Jezu, jaka była dobra....! Nagle usłyszeliśmy walenie do drzwi. Do domu wpadło dwóch oficerów niemieckich i kilku cywili. Z przerażenia nawet nie zauważyliśmy, że wszyscy mieli na rękawach biało-czerwone opaski. To byli partyzanci. Usłyszeliśmy: „Ręce do góry !”..

Być aresztowanym przez swoich, to głupia śmierć.

To byłoby upokarzające. Po wyjaśnieniach pozwolili nam dokończyć zupę, ale dalej nam nie wierzyli. Ulokowali nas dwójkami na czterech saniach i ruszyliśmy leśną drogą. Na trasie przejeżdżaliśmy

przez kolejne wioski, w których działał już ruch oporu, czego dowodem były odgłosy komend wojskowych oraz miejscowi wieśniacy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach i z bronią w rękach. Było to dla mnie najpiękniejsze przeżycie. Pomyślałem: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Gdy dotarliśmy do wsi Żuków ulokowano nas w jednej z chałup. Spaliliśmy na podłodze, na grochowinach. Przy drzwiach stał wartownik. Traktowani byliśmy jak więźniowie. Dopiero następnego ranka, kiedy wszedł dowódca oddziału lotnego, zobaczył i uściskał Witka Piątkowskiego, z którym siedzieli w jednej celi na Zamku w Lublinie, odstawiono warty. W tym momencie poczuliśmy się naprawdę wolni. Nakarmiono nas obficie, ale ze złym skutkiem. Po nagłej zmianie diety rozchorowaliśmy się. Kola Caban ledwie z tego wyszedł.

Lotny oddział stale się przemieszczał, więc po dwóch dniach przewieziono nas do Krzczonowa, dużej wsi kościelnej, w której działało dobrze zorganizowane środowisko AK z podchorążówką włącznie. Umieszczono nas w naprędce zorganizowanym szpitalu, gdzie goiliśmy zranienia na kolanach, które powstały głównie podczas czołgania się w rurze kanalizacyjnej.

W maju, wraz z Robertem, zdecydowaliśmy się wyruszyć z Krzczonowa. Robert jechał do rodziny do Puław, a ja do brata do Warszawy. Wyrobiono nam fałszywe dokumenty. Otrzymałem nazwisko Władysław Kowalski. Ten dokument mam do dziś, ale ze starości wyblakł. Widzi pani jaki ze mnie byle jaki chemik, skoro przez cały czas tylko myślę, jakby ten atrament ożywić.

Jak wyglądał ostatni etap pana ucieczki?

Przed wyruszeniem z Krzczonowa dostaliśmy jeszcze glejt na drogę, czyli adresy gdzie możemy się zatrzymać, kto udzieli nam pomocy. Szliśmy w kierunku Wisły, a gdy dotarliśmy, zastał nas wieczór i postanowiliśmy przenocować na przystani. Weszliśmy do małej poczekalni, zamknęliśmy się od środka i przysnęliśmy. W pewnym momencie usłyszeliśmy niemieckie głosy. „Wszystko zmartowa-

ne” – to była pierwsza myśl jaka pojawiła się w mojej głowie. Na szczęście Niemcy pochodzili po pomocy i odeszli. W strachu dotrwaliliśmy do świtu. Rano dostaliśmy się na statek. Dopłynęliśmy prawie do Kazimierza, a potem pieszo ruszyliśmy w kierunku Puław. Zatrzymaliśmy się przed miejscowością Góra Puławska, w miejscu zamieszkania rodziny Roberta. Ja udałem się do wuja Roberta, pana Urbanka, aby zawiadomić go o czekającym na niego w ukryciu Robertcie. Okazało się, że to było nasze rozstanie. Nawet się nie pożegnaliśmy. Rodzina Roberta przenocowała mnie w szopie koło domu. Rano ruszyłem pieszo w kierunku Dębina.

Musiałem przedostać się przez most na Wiśle, ale ponieważ na dworcu było zatręśnienie żandarmerii, pozostało mi tylko przejście przez strzeżony z dwóch stron most. Bałem się, bo miałem fałszywą kenkartę. Zagadnąłem dwie kobiety wracające z koszar, gdzie pracowały w pralni, czy mogłyby mi pomóc. Bez żadnych pytań wzięły mnie w środek i dowcipkując z wartownikami – Mongołami – przeprowadziły mnie przez most. Nie wiem, czy te kobiety wiedziały, że ratują mi życie.

Na trasie kolejowej Lublin – Warszawa udało mi się wskoczyć do pociągu towarowego, załadowanego zużytym sprzętem wojennym. Z pociągu wyskoczyłem na Targówku. Była już godzina 22.00. Na ulicach pustki. Wsiadłem do tramwaju. Byłem jedynym pasażerem. Dojechałem do ulicy Grochowskiej. Tramwaj skręcał na ul. Zieleniecką, a ja musiałem dostać się na ul. Tarczową. Wokół były zakłady produkcyjne i niemieckie warty. Szedłem środkiem torów tramwajowych. Pomyślałem, że w ten sposób nie będę wzbudzał podejrzeń i może nikt mnie nie zaczepi.



Warszawski Krzyż Powstańczy.



Krzyż Partyzancki.

⇐ *cd. ze str. 7*

Udało się, ale gdy dotarłem na miejsce usłyszałem od bratowej: „Ty wariacie, co wyprawiasz? Jest godzina policyjna!”. Brata już nigdy nie zobaczyłem. Zginął. Na Grochowie zostałem do wybuchu powstania.

To już opowieść na kolejne spotkanie, panie profesorze.

A gdzie tam..... Nie ma mowy.

Proszę mi powiedzieć, czy myśli pan o sobie jako o bohaterze ?

Bohaterze? Bohaterstwem można nazwać odważny czyn w interesie idei lub ludzi.

Gdy dzisiaj pomyślę o tej ucieczce, to włos mi się jeży na głowie. Nigdy bym tego nie powtórzył. Z perspektywy, określiłbym ten wyczyn jako ryzykanctwo. Najpierw podjąłem się ucieczki, pociągnąłem za sobą osiem osób, a potem idąc jak ten głupiec środkiem torów tramwajowych mogłem to wszystko zaprzepaścić. Gdzie tu bohaterstwo, proszę pani ?

Czy naukowiec nie powinien być trochę ryzykanctwem ?

Pewnie, że powinien nim być, bo sama nauka jest ryzykiem. Raz badania się udają, teorie się potwierdzają, drugi raz nie. W mojej pracy zdarzyło mi się wiele niepowodzeń i wiele załamania. Wielokrotnie zaczynałem wszystko od początku. Ale byłem twardy. Muszę przyznać, że jako naukowiec jestem spełniony, chociaż nie udało mi się zrobić wszystkiego o czym marzyłem. Nigdy też nie myślałem o tym, że mogę zostać uhonorowany doktoratem honoris causa naszej uczelni. Jestem zaskoczony, ale i szczęśliwy.

Czego chciałby pan jeszcze dokonać, panie profesorze ?

Mam 15 lat do setki, a to trochę za późno na plany. Od czasów przejścia na emeryturę udało się nam wykonać kilka prac i napisać dziesięć publikacji. W ubiegłym roku wydałem podręcznik pt. „Chemia medyczna”. Jestem z tego bardzo zadowolony. Moja praca uzyskiwała dobre recenzje. Zaznaczam, że nie jest to kolejna kompilacja, ale oryginalne opracowanie o treści dostosowanej do potrzeb nauczania studiujących nauki medyczne.

A gdyby pana poprosiła o przesłanie dla młodych ludzi ?

To trudne. Niezręcznie mi udzielać jakichkolwiek rad, bo tak naprawdę to każdy sam musi znaleźć swoją drogę. Trzeba zawsze mieć własne zdanie.

Wywiad autoryzowany.

Doctor Honoris Causa...

⇐ *cd. ze str. 4*

W latach 1967 – 1968 Władysław Gałasiński pracował w Zakładzie Biochemii Uniwersytetu w Pittsburgu nad chemizmem biosyntezy białka. Znaczącym jego osiągnięciem było samodzielne wykonanie oczyszczenia do stanu homogenności czynnika elongacyjnego eEF-2 z komórek wątroby szczura. Opracowana przez niego metoda była jedną z pierwszych opisanych dla EF-2 z komórek zwierzęcych i została opublikowana w *J. Biol. Chem.* (1969) oraz opisana w książce „Methods in Enzymology”. Duże znaczenie poznawcze mają również dalsze prace nad czynnikiem eEF-2 (*Cold Spring Harb. Biol. Chem.*, 1969) oraz nt. mechanizmu działania toksyny błoniczej na biosyntezę białka w następstwie jej interakcji z eEF-2 (*J. Biol. Chem.*, 1970).

W 1971 r. za całokształt dorobku naukowego i rozprawę habilitacyjną pt. „Biosynteza białka. Charakterystyka peptydylotranslokazy zaangażowanej w biopolimeryzację łańcucha peptydowego” Rada Wydziału Farmaceutycznego AM w Gdańsku nadała mu stopień naukowy doktora habilitowanego.

W 1972 r. Władysław Gałasiński został mianowany docentem etatowym w Zakładzie Biochemii, a w 1973 r. kierownikiem Zakładu Chemii Ogólnej. W zakładzie tym stworzył warsztat naukowy do badań nad biosyntezą białka i wyszkolił zespół do prowadzenia tych badań. Badania nad kwasami

nukleinowymi i biosyntezą białka przeprowadzone w latach 1973 – 1990 stanowiły temat węzłowy problemu koordynowanego przez Instytut Biochemii i Biofizyki PAN. Badania nad substancjami pochodzenia roślinnego o przewidywanym działaniu przeciwnowotworowym miały ponadto wsparcie Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Badania nad czynnikami elongacyjnymi z nabłoniaka Guerin zostały podsumowane w *Acta Biochem. Polon.* (Minirewiew, 1993), nad inhibitorami biosyntezy białka izolowanymi z roślin – w *Acta Polon. Pharm.* (Review, 1996), a całość badań nad układemelongacji łańcucha peptydowego została opublikowana w *Proc. Soc. Exp. Biol. Med.* (Minirewiew, 1996).

Pod kierownictwem i z czynnym udziałem W. Gałasińskiego wykonano ponadto szereg innych badań z zakresu biochemii i analityki. Niektóre z nich mogą być stosowane w praktyce laboratoryjnej, jak np. te opublikowane w *Analytical Biochemistry* (1978) „Convenient modification for hydroxyproline determination in proteins”, czy w *Acta Polon. Pharm.* (2003) „A semi-micromethod for determination of oxalate in human plasma”.

W. Gałasiński wykształcił zespół ludzi zdolnych do samodzielnego prowadzenia pracy naukowej. Niektórzy z nich sprawdzili się jako naukowcy poza granicami Polski, dając dobre świadectwo naszej uczelni.

W latach 1975 – 1977 W. Gałasiński pełnił funkcję prodziekana Wydziału



Profesor J. Pałka wręcza akt godności Doctor Honoris Causa prof. W. Gałasińskiemu.

Lekarskiego, a od roku 1977 do roku 1984 był dziekanem i organizatorem Wydziału Farmaceutycznego z Oddziałem Analityki Medycznej AMB. Zorganizował od podstaw nauczanie na nowo powstałym Wydziale oraz zaplanował wstępnie i nadzorował tworzenie nowej bazy dydaktyczno – naukowej dla tego Wydziału w pomieszczeniach opuszczonych przez Zakłady Anatomii Patologicznej i Medycyny Sądowej. Dzięki własnej bazie, chociaż bardzo skromnej, wydział mógł się rozwijać i zaistniały możliwości powołania Farmacji Apeicznej.

Od 1977 r. do 1992 r. W. Gałasiński był dyrektorem Instytutu Chemii. Za działalność naukową, dydaktyczną i organizatorską był wielokrotnie nagradzany przez Ministra Zdrowia i Rektora AMB. W roku 1982 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, zaś w roku 1989 profesora zwyczajnego.

Ponadto, W. Gałasiński w roku 1955 zorganizował i kierował Rejonowym Laboratorium Kontrolnym Analizy Leków, mieszczącym się w Białostockim Zarządzie Aptek. Był on współorganizatorem Oddziału PTFarm. w Białymstoku, posiada godność Honorowego Prezesa Oddziału i wysokie odznaczenie PTFarm – medal im. J. Łukasiewicza.

Władysław Gałasiński posiada wiele odznaczeń państwowych i regionalnych, w tym: Krzyż Kawalerski Polonia Restituta, Medal Edukacji Narodowej, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki, Krzyż Powstania Warszawskiego, Krzyż Oświęcimski, wpis do Honorowej Księgi Zasłużonych Białostoczczyźnie i inne.

W roku 1992 Władysław Gałasiński odszedł na emeryturę, ale nie odszedł z Zakładu Chemii Ogólnej. Nadal jest obecny w życiu zakładu, bierze udział w pracach naukowych, wspiera radą i pomocą. Wykorzystując swoje czterdziestoletnie doświadczenie w nauczaniu chemii i biochemii, jako emerytowany już profesor, napisał podręcznik pt. „Chemia Medyczna”, wydany w 2005 roku przez PZWL. Podręcznik ten został dobrze przyjęty.

Profesor Władysław Gałasiński jest jednym z najwybitniejszych polskich biochemików – farmaceutów. Jest organizatorem i pierwszym dziekanem Wydziału Farmaceutycznego Akademii Medycznej w Białymstoku, człowiekiem o nieskazitelnej postawie moralnej i etycznej, stanowiącej wzór nauczyciela akademickiego.

**Promotor prof. dr hab. Jerzy Pałka
Dziekan Wydziału
Farmaceutycznego AMB.**

Wystąpienie

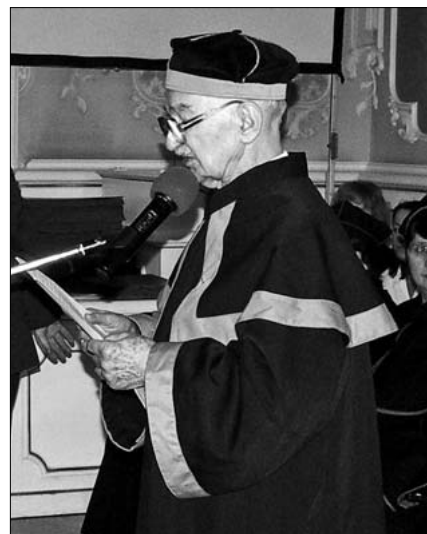
Prof. Władysława Gałasińskiego

**Magnificencjo,
Wysoki Senacie, Dostojni Goście,
Drodzy Przyjaciele**

Zostałem obdarowany wysoką godnością, która jest dla mnie ogromnym zaszczytem, satysfakcją i przyjemnością. Nie ukrywam wzruszenia, przyjmując z pokorą ten hojny dar, o którym nie ośmieliłem się marzyć. Wyrażam gorące podziękowanie Jego Magnificencji, Wysokiemu Senatowi, mojemu promotorowi Profesorowi Jerzemu Pałce, a także Wnioskodawcom.

W przedstawionej przed chwilą przez Profesora Pałkę laudacji zawarte są fakty z mojego życia, które nie wskazywały w żadnym momencie (tradycje rodzinne, warunki bytowe i inne) na wybór drogi, której zaszczytny finał dziś mnie spotkał. Wybór mojej drogi naukowej zawdzięczam studiom farmaceutycznym, podczas których polubiłem chemię związaną szczególnie ze zdrowiem i jego ochroną. Dopiero podczas 20 lat pracy w Zakładzie Biochemii (dawniej Chemii Fizjologicznej) zrozumiałem, że moja fascynacja są badania naukowe. Problemem wiodącym w tych badaniach były kwasy nukleinowe i biosynteza białka. W tym zakresie udało mi się stworzyć warsztat badawczy i wyszkolić zespół, z którym rozwiązywaaliśmy wspólnie ten problem. W biochemii doświadczalnej praktycznie nie jest możliwe dokonywanie indywidualnych odkryć.

Korzystając z okazji, gorąco dziękuję Wszystkim, którzy brali udział w badaniach, przyczyniając się do osiągnięć, które stały się podstawą do nadania mi tej zaszczytnej godności. Z nieustającą wdzięcznością wspominam współpracę z Profesorem Dušanem Kanazirem, kierownikiem Zakładu Chemii Biologicznej Instytutu Badań Jądrowych w Vinci (k. Belgradu). To dzięki Jego wielkiemu zaangażowaniu i serdeczności poznałem metodykę badań nad metabolizmem kwasów nukleinowych i adaptacją enzymatyczną. Wyrazy najgłębszego szacunku i wdzięczności wyrażam Profesorowi Kivie Moldave, kierownikowi Zakładu Biochemii Uniwersytetu w Pittsburgu, uznanemu autorytetowi w zakresie biosyntezy białka. Uwierzył On profesorowi Stefanowi Niewiarowskiemu,



Przemówienie prof. Władysława Gałasińskiego.

polecającemu mnie jako dobrze rokującego w prowadzeniu badań biochemicznych. Profesor K. Moldave nie zawiódł się – nasza współpraca przyniosła znaczące, udokumentowane w piśmiennictwie dokonania. Mimo upływu 38 lat od mojego powrotu do Kraju, prof. K. Moldave nieprzerwanie utrzymuje ze mną łączność drogą korespondencyjną. W zakładzie prof. K. Moldave'a doskonaliłem wiedzę o mechanizmach zachodzących podczas biosyntezy białka oraz zdobyłem doświadczenie w badaniach poszczególnych etapów tego procesu. Dzięki temu doświadczeniu mogłem zorganizować w naszej uczelni bazę i zespół badawczy, który przez ponad 20 lat prowadził badania nad biosyntezą białka w komórkach szczurów zdrowych i w komórkach nowotworowych pasażowanego na szczurach nabłoniaka Guerin. Nie mniejszą wdzięczność wyrażam Profesorowi dr. Przemysławowi Szafranskiemu z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN, kierującemu zespołem badawczym biosyntezy białka. Jego bezcenna przyjaźń towarzyszyła mi przez cały okres mojej kariery naukowej (recenzował mój doktorat, habilitację, opiniował mój wyjazd do USA oraz wnioski do tytułu profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego). Dzięki Jego przychylniej opinii badania,

cd. na str. 10 ⇔

⇐ *cd. ze str. 9*

prowadzone przez mój zespół zostały włączone do problemu koordynowanego przez IBB PAN i jako temat węzłowy realizowane przez blisko 20 lat.

Z dumą wspominam współdziałanie w grupie badawczej rozwiązującej problem węzłowy pt. „Badania nad informacją genetyczną drobnoustrojów, roślin i zwierząt”, której członkami między innymi byli tacy wybitni naukowcy, jak: Kazimierz Wierchowski (czł. rzecz. PAN), Przemysław Szafranski (czł. rzecz. PAN), Włodzimierz Zagórski – Ostoja (aktualny dyrektor IBB PAN), Jerzy Pawełkiewicz (przewodniczący grupy badawczej), Maciej Wiewiórowski (czł. rzecz. PAN), Eugeniusz Gąsior, Tomasz Borkowski i inni. Mój udział w tym zespole został zauważony i zostałem wybrany do Komitetu Biochemii i Biofizyki PAN, gdzie przez dwie kadencje pełniłem funkcję członka Komisji Nagród.

Serdeczne podziękowanie składam także Prof. dr. Wiktorowi Rzeczyckiemu, ówczesnemu kierownikowi Zakładu Biochemii AMB, mojemu drogiemu przyjacielowi. On, po objęciu kierownictwa obdarzył mnie zaufaniem i docenił moje dokonania naukowe, wspierając otwarcie przewodu habilitacyjnego na AM w Gdańsku. Także na Jego wniosek zostałem mianowany docentem etatowym Zakładu Biochemii, a także na czas Jego pobytu naukowego w USA kierowałem zakładem. We wspomnieniach tych nie mogę pominąć podziękowania mojemu następcy prof. dr. hab. Andrzejowi Gindzieńskiemu. Jako kierownik Zakładu Chemii Ogólnej okazał mi szczerą przyjaźń, tak rzadko spotykaną dziś u wielu następców-kierowników. Dzięki Jego przychylności miałem warunki, w których przez 14 lat mogłem nadal działać naukowo z korzyścią także dla zakładu, ale przede wszystkim miałem komfort psychiczny tak ważny dla emerytowanego profesora.

Jak wynika z mojego wystąpienia, niewiele mógłbym osiągnąć bez udziału przyjaciół zarówno w Zakładzie, Uczelni i poza nią. Po 53 latach spędzonych w murach mojej Uczelni pozostanie pamięć miłych przeżyć koleżeńskich, w których doznałem wiele życzliwości i przyjaźni, a jeżeli także niechęci, to nie odczuwałem jej jako wrogości.

Zawsze przy mnie była rodzina i jeżeli dzisiaj moja córka Ewa, i moi wnukowie Marcin i Michał oraz moja siostra Irena Gałasińska-Pomykoł cieszą się razem ze mną tym szczególnym uznaniem, to czuję się szczęśliwym i spełnionym człowiekiem.

Z głębokim żalem zawiadamiam, że 24.01.2007 r.
zmarła

prof. dr hab.
Tamara Samkowicz-Jelisiejew
wieloletni kierownik Zakładu Anatomii
Prawidłowej Akademii Medycznej Białymstoku.



Profesor Tamara Samkowicz-Jelisiejew urodziła się 1.11.1929 r. w Głębokim woj. wileńskie. W 1955 roku ukończyła studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Białymstoku. Była jedną z pierwszych absolwentek uczelni. Po studiach rozpoczęła pracę w Zakładzie Anatomii Prawidłowej AMB. Stopień doktora nauk medycznych uzyskała w roku 1960, doktora habilitowanego nauk medycznych w roku 1968, tytuł profesora nadzwyczajnego w 1982 roku. Od roku 1976 aż do

przejścia na emeryturę tj. do roku 2000, kierowała Zakładem Anatomii Prawidłowej. Była aktywnym członkiem społeczności akademickiej. W latach 1980-1987 pełniła funkcję prodziekana wydziału lekarskiego. Przez wiele kadencji była członkiem Senatu Akademii Medycznej w Białymstoku. Była specjalistą morfologiem z zakresu anatomii prawidłowej. Dorobek naukowy prof. Tamary Jelisiejew obejmuje około sześćdziesiąt prac w czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Wypromowała pięciu doktorów nauk medycznych. Wielokrotnie uhonorowana odznaczeniami państwowymi, w tym: Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Trzydziestolecia PRL, Odznaką za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia.

W zmarłej żegnamy wspaniałego człowieka, lekarza o szerokich zainteresowaniach naukowych, szanowanego nauczyciela akademickiego, wychowawcę wielu pokoleń lekarzy.

Wyrazy głębokiego współczucia Bliskim
z powodu śmierci

Profesor Tamary Jelisiejew

w imieniu społeczności akademickiej
składa

Rektor Akademii Medycznej w Białymstoku

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniu 27.01.2007 r. na Cmentarzu Prawosławnym w Białymstoku przy ul. Wysockiego 1.

Spotkamy się kiedyś, Tamaro

24 .01.2007 r. z grona pierwszych absolwentów odeszła Tamara Samkowicz-Jelisiejew. Była z nami od dnia, kiedy razem, w 1950 r., zdawaliśmy egzaminy wstępne do Akademii Medycznej w Białymstoku. Od tego czasu minęło 56 lat – ponad pół wieku – ale cóż to znaczy w porównaniu z wiecznością. Jest to jedna, krótka chwila, w której tak wiele się działo.

Tamara urodziła się w Głębokiem (woj. Wileńskie) 01.11.1929 r. Już od drugiego roku studiów rozpoczęła pracę w Zakładzie Anatomii Prawidłowej AMB i pozostała wierna zakładowi przez 50 lat. Przeszła wszystkie szczeble kariery zawodowej i naukowej, od młodszego asystenta do kierownika zakładu, którym została w 1976 r. Stopień dr. n. med. uzyskała w 1960 r., habilitowała się w 1968 r., a w 1982 r. uzyskała tytuł profesora nadzwyczajnego. W czasie pracy zawodowej pełniła wiele ważnych funkcji w uczelni. Była sekretarzem redakcji Roczników AMB, pracowała w komisjach rekrutacyjnych, była członkiem kolegium dziekańskiego, członkiem Senatu, prodziekanem i dziekanem AMB. Pamiętamy ją i w skromnej sukience, i w todze dziekana.

Do studiów podchodziła z wielką powagą i zaangażowaniem. Efektem był



dypłom z odznaczeniem – dypłom nr 2/55 – drugi dypłom lekarza w historii AMB. Egoizm i wyniosłość były jej obce. Cechowały ją skromność i ciepły stosunek do ludzi. Zarówno w czasie studiów, jak i w okresie pracy zawodowej zawsze chętnie służyła nam radą i pomocą.

Jej śmierć przyjąłem z ogromnym zaskoczeniem i niedowierzaniem. Trudno mi jest zrozumieć, że opuściła nas w jednej chwili i już nieodwracalnie, a miała jeszcze tyle planów... Kiedy cofnę się myślą, widzę Tamarę, z którą wspólnie opracowujemy program naszych zjazdów w latach 1995, 2000 i 2005. Była ona bowiem inicjatorką i współorganizatorką tych spotkań. Bardzo chciała, by przetrwała nić przyjaźni, która połączyła nas w czasie studiów. Myślała o zorganizowaniu spotkania w 2007 roku. Los zrzucił inaczej.

szerego rektora AMB. Ich fragmenty miała zamiar opublikować w przygotowywanym albumie pierwszych absolwentów uczelni. Nie zamyśliłyśmy się nad testamentem prof. Sławińskiego, zostawionym jej do wypełnienia. Tamarę bardzo martwiło, że okoliczności nie pozwoliły spełnić prośby profesora.

27.01.2007 r. towarzyszyłam Jej w ostatniej drodze. W imieniu społeczności akademickiej pożegnał Tamarę Jego Magnificencja Rektor AMB prof. Jan Górski. W tej ostatniej drodze towarzyszył Jej również obecny dziekan AMB prof. Robert Flisiak. Wiele lat temu Tamara, będąc dziekanem, przyjmowała go na studia medyczne. Dziwnie splatają się losy ludzkie.

Tamara odeszła. Przypominają mi się słowa Ryszarda Kapuścińskiego: „Człowiek nie odchodzi sam. Razem z nim znika ten świat, który stworzył on wokół siebie, który był jego przedłużeniem, ten odrębny, jedyny, unikalny mikroświat, istniejący samą mocą obecności tego człowieka na ziemi. Razem z jego śmiercią umiera więc coś jeszcze, coś więcej.”

Pamięć o Tamarze nie umrze. Pozostanie ona w naszych myślach i sercach. Wierzę, że nadejdzie czas, w którym jak niegdyś na egzaminie, wszyscy spotkamy się jeszcze raz w tym innym, może lepszym świecie.

Teresa Kurowska

Dr n. med. specjalista ginekolog.



Zakończenie studiów, 1955.

Ostatnia podróż

*Pochylamy się przed inteligencją,
Kłękamy zaś przed dobrocią.*

J.W. Goethe

Zycie profesor Tamary Samkowicz-Jelisiejew to podróż do najbardziej egzotycznej i fascynującej krainy, jaką jest ludzkie wnętrze. Żadna jednak podróż nie zaspokoi odkrywczych pragnień, bo to, czego szukamy i za czym tęsknimy, kryje się bardzo głęboko wewnątrz nas. Aby wytrwać w tej drodze trzeba wykazać się dużą odwagą, ponieważ jest ona trudna i długa, i nigdy nie wiemy, kiedy się skończy.

Prawie 50 lat pracy zawodowej Pani Profesor, w tym 25 lat jako kierownika Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka

AMB, to czas wypełniony licznymi obowiązkami. Wszyscy, którzy mieli z nią kontakt pamiętają spokój i pogodny uśmiech, które towarzyszyły Jej pomimo ogromu pracy.



Po raz pierwszy profesor Tamarę Samkowicz-Jelisiejew spotkałem, jako student, przed 30 laty.

Wielokrotnie widywałem ją w parkowych alejach. Byłem pod wrażeniem Jej powagi, a jednocześnie pogody i przychylności. Nigdy nie przypuszczałem, że dostąpię zaszczytu kierowania Jej zakładem. Nasza wspólna praca trwała stosunkowo krótko, ale życzę każdemu, kto przejmie kierownictwo jednostki, aby odbyło się ono w takiej przyjaznej atmosferze, jaką stworzyła Pani Profesor. Ostatni raz odwiedziła zakład jesienią ubiegłego roku. Obserwowaliśmy jak oddalała się od budynku parkową aleją, wysłaną poźółkłymi liśćmi. Nie przypuszczałem, że więcej nie odwiedzi byłych współpracowników. Spotkała się z nimi w mroźne, zimowe przedpołudnie 27 stycznia. W tym dniu ja także pożegnałem Panią Profesor.

Janusz Dzieciół

Prof. dr hab. kierownik Zakładu Anatomii Prawidłowej AMB.

Lekarski Egzamin Państwowy

Lekarski Egzamin Państwowy, który wprowadzono w roku 2004, wzbudził wiele emocji. Absolwenci nie kryli lęku przed konsekwencjami niezaliczenia egzaminu, warunkującego uzyskanie prawa wykonywania zawodu, a władze uczelni obawiały się obiektywnej konfrontacji i nieuniknionych porównań skuteczności nauczania. Pierwsza edycja ujawniła jednak bardzo wyrównany poziom, a jedyną uczelnią, która wówczas odstawała od reszty była AM w Lublinie. Punktacja uzyskana w kolejnych dwóch

latach LEP-u była wprawdzie niższa od tej z pierwszej edycji, ale różnice pomiędzy wynikami absolwentów poszczególnych uczelni się zmniejszyły. Miejsce AMB w tym nieoficjalnym rankingu uległo poprawie, a w roku 2006 nasi absolwenci uzyskali trzeci wynik w zakresie średniej punktacji i szósty pod względem skuteczności zdawania egzaminu.

Prof. dr hab. Robert Flisiak

Dziekan Wydziału Lekarskiego AMB

średnia punktacja	2004		2005		2006		średnia za 3 lata	
Śl. AM Katowice	152	3	144,9	1	146,3	1	147,7	1
AM Gdańsk	152,6	2	143,8	4	144,9	2	147,1	2
AM Białystok	148,8	7	142,1	7	144,2	3	145,0	4
AM Warszawa	149,8	4	144,9	1	143	4	145,9	3
PAM Szczecin	147,8	8	139,2	9	143	5	143,3	6
UJ CM Kraków	148,9	5	143,2	5	140,1	6	144,1	5
AM Wrocław	144,9	9	144,5	3	139,7	7	143,0	7
AM Poznań	148,9	5	140	8	138,8	8	142,6	8
AM Lublin	137,3	11	142,7	6	136,5	9	138,8	10
UM Łódź	153	1	137	10	135,2	10	141,7	9
UMK CM Bydgoszcz	144,8	10	134,4	11	134,4	11	137,9	11

XXXVI Olimpiada Biologiczna 2006/2007

W dniach 13–15 stycznia 2007 r. w Zakładzie Biologii Ogólnej oraz w auli Collegium Uniwersum w Akademii Medycznej w Białymstoku odbyły się eliminacje okręgowe XXXVI Olimpiady Biologicznej, W tym roku do zawodów okręgowych przystąpiło 108 zawodników z 18 liceów ogólnokształcących województwa podlaskiego. Przygotowanie merytoryczne uczniów było bardzo dobre. W pierwszym dniu zawodów okręgowych młodzież rozwiązywała test. Testy sprawdzające wiedzę teoretyczną uczestników zawierały 100 pytań dotyczących wszystkich dziedzin biologicznych. Na podstawie wyników z testu do rozmów ustnych – drugiego etapu eliminacji okręgowych dopuszczono 13 zawodników. Po ocenie rozmów z zawodnikami o wykonanej przez nich pracy badawczej i dodaniu punktów z testu Jury KOOB w składzie: przewodniczący: dr Anna Godlewska, sekretarz: dr Bożena Kiziewicz oraz członkowie: dr Bożenna Mazalska i dr Elżbieta Muszyńska ustaliło następującą kolejność laureatów eliminacji okręgowych: **Śledziwski Rafał** – I LO im. T. Kościuszki w Łomży; **Stanisławski Krzysztof** – Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 2, II LO im.

Ks. Anny z Sapienhów Jabłonowskiej w Białymstoku; **Gosiewska Katarzyna** – I LO im. T. Kościuszki w Łomży; **Wierciński Andrzej** – Zespół Szkół, Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej w Siemiatyczach; **Szerszunowicz Natalia** – II Liceum Ogólnokształcące z Dodatkową Nauką Języka Białoruskiego w Hajnówce.

Prawdopodobnie pierwszych pięć osób (wyniki nieoficjalne) będzie reprezentowało nasz okręg na eliminacjach centralnych w Warszawie, które odbędą się 21–23 kwietnia 2007 r.

Wszystkim laureatom i uczestnikom zawodów II stopnia Olimpiady Biologicznej w Białymstoku składam serdeczne gratulacje. Osobom, które będą reprezentowały Okręg Białostocki na eliminacjach zawodów III stopnia w Warszawie, życzę powodzenia.

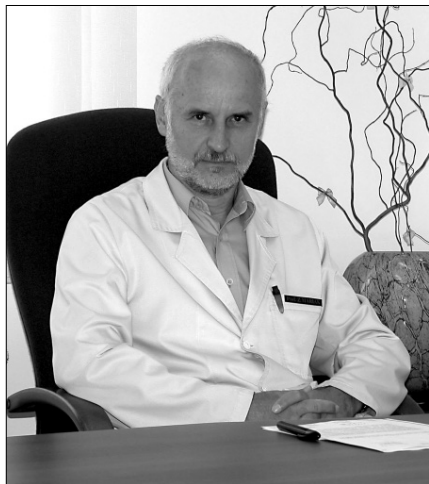
Komitet Okręgowy Olimpiady Biologicznej składa serdeczne podziękowanie władzom Akademii Medycznej w Białymstoku za pomoc w organizacji olimpiady na szczeblu okręgowym.

Dr Bożenna Kiziewicz,

Sekretarz Komitetu Olimpiady Biologicznej w Białymstoku p.o. kierownik Zakładu Biologii Ogólnej AMB.

System

profesorski, czy biurokratyczny?



ZENON MARIŁ

Publikować za darmo uwielbiają tylko grafomani i naukowcy, a za pieniądze dziennikarze. Zwykły człowiek chwyta za laptop tylko, gdy coś go naprawdę zastanowi, czy wręcz zbulwersuje. Mnie spotkały ostatnio te dwa przeżycia.

Polska liderem nauki?

„Polityka”, w jednym z niedawnych numerów (2006, 47, 93), przypomniała opublikowane przez „Nature” (2004, 430) zaskakujące zestawienie wkładu poszczególnych krajów świata w naukę, w zależności od ich stanu ekonomicznego. Na prawo od linii korelacji wykładniczej lokują się kraje, które osiągają mniejszy wpływ (impakt) na naukę, niż wynikałoby to z ich zamożności (w tym głównie USA i Japonia), natomiast na lewo – kraje o wpływie nieproporcjonalnie dużym, wśród których najbardziej pozytywnym odstępstwem od przeciętnej jest Polska. Zwracam uwagę, że chodzi nie o liczbę publikacji, a o poziom cytowania prac z danego kraju, który ma przecież coś wspólnego z realnym jego wkładem do światowej nauki.

Wykres ten przyprawił mnie o niepokój. Otóż przed czasem niejakiem wdałem się na tych łamach w polemikę z Markiem Kamińskim, który nawoływał z Ameryki do natychmiastowego zniesienia polskiego systemu rang naukowych („Książę Paw”, MB Nr 3, 2003). Według autora miało by to naszą naukę wyzwolić i uskrzydlić.

Dopóki mój interlokutor nie uciekł się do połażanek, była to dyskusja raczej akademicka, trochę historyzoficzna, ot tak aby intelekt i instynkt polemiczny nie stępiały od nieużywania („Pif, paf, Książę Paw” MB No 4, 2003).

Tymczasem widzę, że miałem całkowitą rację, broniąc naszego systemu profesorskiego przed bezpardonową amerykańską, bo oto okazał się on niezwykle efektywny, a przy tym tani w obsłudze. A kiedy ktoś dochodzi do wniosku, że ma absolutną rację, to lepiej żeby zaczął się poważnie zastanawiać albo nad zagadnieniem, albo nad sobą, bo przecież prawda lubi być raczej pośrodku, a nie po jednej tylko stronie.

Efektywny profesor

Skoro Polacy nie są z natury ani mądrzejsi, ani bardziej pracowici od nacji krajów lepiej rozwiniętych, to w takim razie skąd przy mizernych nakładach mamy taką wydajną naukę? W Stanach Zjednoczonych system jest dość klarowny, tam prowadzi się tylko badania finansowane; nie ma grantu – zespół nie zarabia na siebie i często musi się rozwiązać. Tymczasem my zachłysłiliśmy się właśnie niesłychaną nowością: rzekomą wolnością badań naukowych. Jeszcze nie tak dawno panujący model był taki, że wielki szef po latach habilitował (u swoich kolegów) wybranego człowieka z zespołu, czym namaszczał go na swojego następcę. Namaszczony musiał dla przyzwoitości mieć jakiś dorobek, ale nie była to dla jego awansu rzecz pierwszorzędna. Na początku lat dziewięćdziesiątych odważniejsze uczelnie (w tym nasza) udostępniły zdobywanie stopni naukowych każdemu, kto przedłoży odpowiedni i zweryfikowany dorobek naukowy, w tym prace o zasięgu międzynarodowym. Zgodnie z oczekiwaniami, wyzwoliło to prawdziwą eksplozję

publikacji, bo wiadomo, że młody człowiek szybko znajdzie niszę ekologiczną do własnych badań (przy takim wyposażeniu, jakim akurat jego zakład dysponuje) i przez lata nie będzie dojadł ani dosypiał, nie będzie zarabiał, byle tylko badać i publikować. Dzięki otwarciu na świat, wielu naukowców robi to w kilku cyklach wyjazdowych za granicą, a do swojej uczelni przyjeżdżają trochę odsapnąć. Powstają (dobre) publikacje, kolejne doktoraty, i tworzy się coraz liczniejsza grupa utytułowanych naukowców. Wszystkich to bardzo cieszy i to właśnie jest ten sukces naukowy wielu polskich uczelni i całego kraju.

Odwrócona piramida

Tylko że prawo postępu geometrycznego działa nieubłaganie i, jak każdy łańcuszek Świętego Antoniego, ten też z powodu wyczerpania zasobów musi się skończyć szybciej, niż jego uczestnicy się spodziewają. W uczelni tworzy się coraz liczniejsza grupa pięćdziesięcioletnich profesorów, którzy będą się zastanawiać, czy jest sens strawić następne 20 lat z reszty swojego życia na podwojenie dotychczasowego Impact Faktora. Dla coraz większej grupy docentów zabraknie sensownych doktorantów, a dla większości utytułowanych – odpowiadających ich aspiracjom i kwalifikacjom stanowisk w uczelni. Mało tego, zabraknie też środków w budżecie na zwykły awans poziomy, a zatem normą będzie pozostawanie większości nowych profesorów do końca kariery na stanowiskach asystenckich. Nieliczni tylko, i to raczej ci najbardziej zmotywowani, wyjadą za granicę ciężko tyrać jako naukowci gasterbeiterzy, ale większość zostanie, bo gdzie pójdzie szukać szczęścia pięćdziesięcioletni profesor

cd. na str. 14 ⇔

⇐ *cd. ze str. 13*

np. immunologii, czy bromatologii. Zapewne będzie dochodzić do walki między różnymi grupami o rozmaite dobra i zasoby, jak też do naruszającej obyczaje akademickie żąrzanej konkurencji o stanowiska. Widząc te perspektywy, co sensowniejsi młodzi ludzie machną ręką na takie uprawianie nauki i tak się pewnie w sposób naturalny skończy obecny boom naukowy.

Czy mamy alternatywę?

Jest oczywiste, że wiele się musi zmienić, jeżeli chcemy, aby wszystko zostało po starciu. Zdrowa i nowoczesna uczelnia musi swój potencjał sprzedawać na rynku usług naukowo-badawczych i oświatowych. Wyssoko wykwalifikowane kadry powinny te fundusze zdobywać, zasilać z nich zasoby uczelni i jednocześnie z tych dochodów żyć na przyzwoitym poziomie. Alternatywą jest placówka całkowicie zależna od dotacji państwowej, w której armia sfrustrowanych, choć utytułowanych pracowników poszukuje dobrze płatnych „zajęć ubocznych” („fucha” kojarzy się z zawodem majstra, a nie profesora), jednocześnie wzajemnie podgryzając się i wygryzając w walce o dostęp do stanowisk z lepszymi widokami na ten typ dochodów.

Każdy wie, że rynek grantów polskich jest bardzo płytki, że o uzyskaniu dotacji decydują nieraz względy pozamerytoryczne, że nie ma współpracy z biznesem, że do

stęp do funduszy europejskich jest trudny i zbiurokratyzowany. Nie zmienia to jednak sytuacji, a zwłaszcza niemilego faktu, że mimo sukcesów, czekają nas dalsze trudne decyzje i działania.

Nasza uczelnia, która jako jedna z pierwszych wprowadziła merytoryczną ocenę dorobku naukowego i wysłała przez to na czołówki rankingów, pewnie też jako jedna z pierwszych odczuje wyczerpanie możliwości tego systemu. Prawa rynku są nieubłagane i zdaje się, że już musimy na niektórych płatnych kierunkach kształcić poniżej kosztów własnych, bo pielęgniarstwo nie zapłaci przecież więcej niż np. w uczelni łomżyńskiej tylko dlatego, że zajęcia będą prowadzić wysoko płatni profesorowie i docenci. A ci, zamiast kierować zespołami badawczymi, będą musieli odbębnić swoje 200 godzin dydaktycznych, bo mało zarabiająca uczelnia nie stać przecież na opłacanie godzin nadliczbowych.

Cięzka kwestia dla kwestury

Dlaczego piszę o tych, wydawałoby się oczywistych rzeczach, nie będąc grafomanem, ani nie mając aspiracji do zbawiania kogokolwiek? Ponieważ jeszcze nie mogę się otrząsnąć z ciężkiego szoku po rozmowie w naszej kwesturze, a dotyczącej grantu KBN, który realizujemy wspólnie z obecnym dziekanem Wydziału Elektrycznego Politechniki w Białymstoku. Jest to kolejny wspólny projekt badawczy, przy czym poprzednie były realizowane u nas,

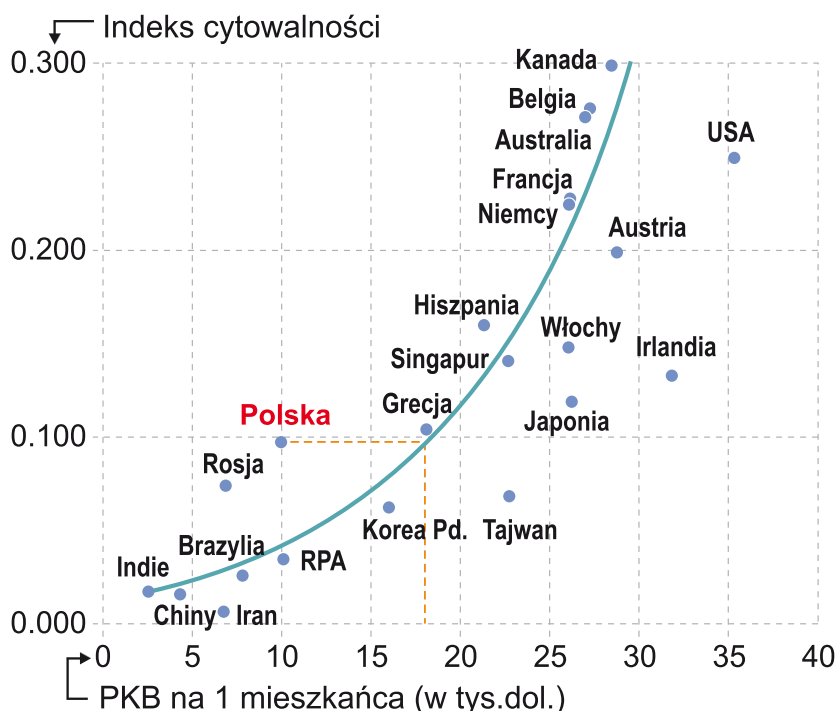
a obecny – dla sprawiedliwości – prowadzi politechnika. Jednak zgodnie z umową tego projektu, cała aparatura za 65 tys. zł (m.in. urządzenia i monitory do transmisji obrazu z bloku operacyjnego do sali seminarnej w klinice), miały przypaść Klinice Neurochirurgii AMB. No i się zaczęło. Z projektem odpowiedniej umowy przygotowanej w Politechnice zostaliśmy wysłani do kwestury, gdzie dziekan i ja usłyszeliśmy (streszczając tylko główne zarzuty), że:

- realizacja projektu w Politechnice jest to nasza (w szczególności moja) prywatna sprawa;
- to, co klinika neurochirurgii dostanie, to sprawa kliniki, a Akademia na tej sprawie tylko traci;
- Politechnika powinna Akademii zrekompenzować koszty, które taka darowizna spowoduje;
- a w ogóle jest to jakiś spisek i wysysk naszej uczelni przez Politechnikę, która osiągnie z tego grantu zyski, patenty, publikacje, pozostawiając Akademii tylko biedę z aparaturą dla jakiejś tam kliniki.

Z pewnością popełniliśmy jakieś błędy formalne na etapie planowania tego projektu. Jednak dotychczas zawsze spotykałem się w naszej administracji tylko z życzliwością i dlatego moje zaskoczenie było bezgraniczne, kiedy zamiast porady i pomocy, otrzymaliśmy reprimendę podniesionym głosem i zarzut uszkodzenia uczelni. Najgorszy był wstyd przed kolegą – profesorem i dziekanem uczelni, z którą współpracuję od 10 lat, i którego dotąd nie widziałem tak zdenerwowanego. Po tej rozmowie skarżył się, że w jego uczelni potraktowano go, jakby nieomal chciał wyprowadzić majątek, a tu z kolei usłyszał, że prawie chce oszukać uczelnię, której ten majątek miałby przekazać.

Nie wtrącam się w to, jak kwestura ma wspierać kierunki rozwoju uczelni, podliczać słupki, czy przestrzegać prawa. Nie jestem nawet pewien, czy rzeczywiście już nadszedł ten moment w rozwoju naszej uczelni, że naprawdę potrzebuje ona dodatkowych dochodów i zamierza wspierać działania w kierunku ich pozyskania – w tym współpracę między różnymi grupami naukowymi. Nabrałem natomiast pewności co do decyzji, z którą przez wiele lat się powstrzymywałem (uwważając, że jak się jest profesorem, to trzeba się trudnić rzemiosłem profesorskim): otwieram prywatną praktykę neurochirurgiczną.

Prof. dr hab. w Klinice Neurochirurgii AMB.



Polska, z dochodem brutto na głowę w wysokości 10 tys. euro, osiąga poziom cytowania odpowiadający krajom z dochodem 17 tys. euro. Gdyby wykres ten uwzględniał stopień nakładów na badania (Polska około 0.9% PKB, Francja około 2.5%), te różnice byłyby jeszcze bardziej szokujące.

Betonowych butów

ciąg dalszy

Miesiąc temu, cytując wiceministra zdrowia, Bolesława Piecha, określającego zadłużone szpitale jako „betonowe buty systemu”, nie przypuszczałem, że tak szybko potoczą się wydarzenia. W prasie centralnej rozkrzyczały się tytuły: „Akademie medyczne zastawią nieruchomości” (Wyborcza 27-28 stycznia), „Największy szpital we Wrocławiu idzie pod młotek” (Rzeczpospolita 30 stycznia). Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, umożliwiające komornikom zajmowanie wszystkich pieniędzy na kontach zadłużonych szpitali publicznych spowodowało, że po pieniądze do szpitali klinicznych ustawił się długi ogonek wierzycieli. By ratować szpitale przed zamknięciem, uczelnie medyczne zmuszone są brać kredyty pod zastaw nieruchomości. Pierwszą taką decyzję podjął senat AM w Gdańsku, to samo rozważył senat AM we Wrocławiu. Długi Akademickiego Centrum Klinicznego AM w Gdańsku przekroczyły 200 mln zł, długi dwóch największych i najważniejszych dolnośląskich szpitali klinicznych to 280 mln zł. Zadłużenie szpitali klinicznych stawia w trudnej sytuacji uczelnie medyczne, będące organem założycielskim placówek medycznych.

Gdy kilka lat temu nowe władze uczelni poszukiwały sposobu rozwiązania problemu zadłużenia SPSK AMB, często słyszało się lekceważące problem opinie. Na szczęście już teraz nikt nie podważa potrzeby dostosowania się do aktualnych wymagań tzw. rynku usług zdrowotnych. W rok 2007 szpitale kliniczne Akademii Medycznej w Białymstoku wkroczyły bez zadłużenia.

Na koniec jedna uwaga. Skoro Trybunał uznał, że szpitale muszą stosować się do zasad gospodarki rynkowej, to przepisy, a przynajmniej ich polityczna interpretacja, powinny zezwalać na sprzedaż usług medycznych na zasadach komercyjnych.

Marek Rogowski

Prof. dr hab., prorektor ds. klinicznych AMB.

Link Source i lista A to Z

W 2007 roku Biblioteka Główna AMB udostępnia dwa nowe narzędzia informacyjne: Link Source oraz listę A to Z.

Link Source został dołączony do baz bibliograficznych. Program z pozycji opisu bibliograficznego informuje w jakiej bazie odnalazł pełny tekst i automatycznie łączy z artykułem. Jeżeli biblioteka nie zapewnia dostępu do czasopisma, system informuje, że nie znalazł pełnego tekstu, ale może połączyć z Centralnym Katalogiem Czasopism Zagranicznych w Polskich Bibliotekach Me-

dycznych lub z Katalogiem Biblioteki Narodowej, gdzie można uzyskać informację, która biblioteka posiada dany tytuł czasopisma w wersji drukowanej. Można też bezpośrednio połączyć się z systemem doc@med i złożyć zamówienie na skan artykułu. Za pomocą Link Source w kilka minut można dotrzeć do publikacji w dowolnej bazie pełnotekstowej, udostępnianej przez bibliotekę lub uzyskać informację, która z polskich bibliotek posiada wersję papierową. Wszystkie operacje można przeprowadzić podczas sesji w bazie bibliograficznej.

Przykładowy wynik wyszukiwania:

Title: A human recombinant haemoglobin designed for use as a blood substitute
Source: Looker, Douglas. <i>Nature</i> Volume: 356 Issue: 6366 p. 258-260. ISSN: 0028-0836
Revise Request
Resources Located for this Citation
Znaleziono pełne teksty w:
ProQuest
Jeżeli powyżej brak linków do pełnego tekstu sprawdź katalogi - może biblioteka posiada czasopismo w wersji drukowanej
Sprawdź katalog AMB
Sprawdź katalog Biblioteki Narodowej - zobaczysz która biblioteka posiada wersję drukowaną czasopisma: Nature
Sprawdź Centralny Katalog Czasopism Zagranicznych w Polskich Bibliotekach Medycznych
Jeżeli nic nie znalazłeś przeszukaj ogólnodostępne zasoby internetowe lub zamów kopię artykułu w doc@med
Szukaj podobnych informacji w Google
Szukaj informacji o autorze w Google
Szukaj podobnych informacji w Google Scholar
Szukaj informacji o autorze w Google Scholar
Zamów tekst w doc@med (dostęp tylko dla uprawnionych)

Lista A to Z zawiera alfabetyczny wykaz tytułów czasopism, dostępnych w wersji online w uczelnianej sieci komputerowej. Program z pewnością zadowoli wszystkich, którzy lubią czytać na bieżąco kolejne zeszyty czasopisma lub docierać do numerów archiwalnych. Lista informuje o dostępnych rocznikach danego tytułu i poprzez link łączy z pismem.

– bazy Current Contents (dla jednego jednoczesnego użytkownika);
– czasopismo: Nature wraz z archiwami od 1997 roku; Nature Clinical Practice Oncology - wraz z archiwami od 2004 roku; Science – wraz z archiwami od 1997 roku oraz czasopismo wydawnictwa Lippincott Williams & Wilkins wraz z archiwami.

Inne nowości

Dostęp w sieci uczelnianej do:

Danuta Dąbrowska-Charytoniuk

p.o. Dyrektor Biblioteki Głównej.

55-lecie Chóru AMB

Drodzy Chórzyści

Członkowie Chóru Akademii Medycznej w Białymstoku w latach 1951-2007

W dniach 11-12.05.2007 r. w Białymstoku odbędą się uroczyste obchody Jubileuszu 55-lecia istnienia naszego Zespołu. Naszym zamierzeniem jest zgromadzenie w tym terminie wszystkich Chórzystów śpiewających przez te lata i mających udział w sukcesach Chóru AMB.

Wszelkie informacje dotyczące Jubileuszu (terminy, wysokość opłaty uczestnictwa, numer konta, plan uroczystości oraz formularz zgłoszeniowy) będą dostępne na naszej jubileuszowej witrynie internetowej <http://chor.amb.edu.pl/jubileusz> oraz stronie głównej Chóru: <http://chor.amb.edu.pl>

Komitet Organizacyjny zwraca się z prośbą do wszystkich Chórzystów o możliwie najszybszy kontakt. Naszym zamierzeniem jest zamknięcie listy uczestników najpóźniej do 31.03.2007 r. Zwracamy się również z gorącą prośbą o powiadamianie o zbliżającym się święcie Chórzystów, z którymi utrzymujecie kontakt (nie wszystkie posiadane przez nas adresy są aktualne, nie wszystkie dane są kompletne). Chórzystki prosimy o podawanie również nazwisk panińskich.

Prosimy o korespondencję i szybki kontakt z:

Komitet Organizacyjny Jubileuszu 55-lecia Chóru AMB, Chór AM w Białymstoku ul. Kilińskiego 1,

15-089 Białystok faks: 085-748-54-16, prezes Chóru: Hanna Zajączkiewicz, tel. 0501-084-964, e-mail: haneczka@interia.pl, z-ca prez.: Jan Biskup, tel. 0512-266-655, e-mail: janbiskup@o2.pl, sekr.: Paweł Abramowicz, tel. 0605-580-212, e-mail: pabram@o2.pl lub e-mail Chóru: choramb@hotmail.com

Komitet Organizacyjny Jubileuszu 55 lat Chóru AM w Białymstoku.



Oświadczenie pacjenta wyrażone na wypadek utraty przytomności, określające wolę dotyczącą postępowania lekarza w stosunku do niego w sytuacjach leczniczych, które mogą zaistnieć, jest dla lekarza – jeżeli zostało złożone w sposób wyraźny i jednoznaczny – wiążące.

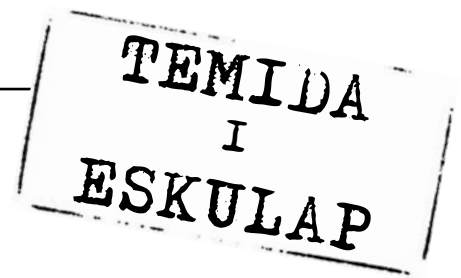
Tak brzmi cenna dla praktyki lekarskiej teza postanowienia Sądu Najwyższego z 27 października 2005 r. (III CK 155/05, OSNC 2006 r., Nr 7-8, poz. 137), która przecina wątpliwości, w jaki sposób medycy winni traktować pisemne oświadczenia woli nieprzytomnych, dorosłych pacjentów.

Stan faktyczny przedmiotowej sprawy był następujący. W sierpniu 2004 r. Bogusława Ł. wraz z mężem ulegli wypadkowi komunikacyjnemu, w wyniku którego jej mąż zginął, ona zaś utraciła przytomność. Lekarze uznali, że jej stan zdrowia wymaga przetoczenia krwi i użycia preparatów krwiopochodnych. Jednocześnie w samochodzie małżonków znaleziono pisemne oświadczenie zatytułowane „Oświadczenie dla służby zdrowia – żadnej krwi”, sporządzone przez Bogusławę Ł. w styczniu 2004 r., a zatem na osiem miesięcy przed wypadkiem. Poszkodowana „bez względu na okoliczności” nie zgadzała się na „żadną formę transfuzji krwi”, nawet w przypadku, gdy ich zastosowanie byłoby konieczne do ratowania życia lub zdrowia. Jako Świadka Jehowy obowiązuje ją bowiem zasada „żadnej krwi” i jedyne, na co się zgadza to na zastosowanie alternatywnych metod leczenia.

W tych okolicznościach lekarze uznali, że jej oświadczenie woli w przedmiocie zgody na określone metody leczenia jest mało wiarygodne i wystąpili do Sądu Rejonowego w Węgrowie o wyrażenie zgody na zastosowanie terapii krwią.

Postanowieniem z 19 sierpnia 2004 r. tenże sąd zezwolił na wykonanie czynności medycznych obejmujących przetoczenie krwi, celem ratowania jej życia. „wobec nadrzędnej – w systemie społecznych wartości – potrzeby ratowania życia ludzkiego”. Wydając zgodę na leczenie, sąd stwierdził, że znalezione oświadczenie w rzeczywistości jest mało wiarygodne, gdyż nie potwierdził go notariusz.

W rezultacie leczenia krwią nie zastosowano, ponieważ inne metody terapii okazały się skuteczne, a stan pacjentki się poprawił. Bogusława Ł. wraz z synem wnieśli apelację od orzeczenia Sądu



Oświadczenie na wypadek utraty przytomności



MAREK HERMANOWICZ

I instancji do Sądu Okręgowego w Siedlcach, podnosząc że pacjent ma pełne prawo do samostanowienia i decydowania o stosowanych na nim metodach leczenia.

Sąd Okręgowy rozpoznający apelację, postanowieniem z 20 grudnia 2004 r. – uchylił zaskarżone orzeczenie i umorzył postępowanie, jako że transfuzji u pacjentów w sumie nie przeprowadzono, stan pacjentki był na tyle dobry, że opuściła ona szpital, toteż wydawanie postanowienia co do istoty stało się zbędne.

Wówczas pacjentka złożyła kasację do Sądu Najwyższego, która została uwzględniona, zaskarżone postanowienie Sądu Okręgowego w Siedlcach uchylone, a sprawa przekazana temu sądowi do ponownego rozpoznania.

Sąd Najwyższy w uzasadnieniu orzeczenia wskazał, że „w demokratycznym państwie prawnym wolność jest chroniona w sposób szczególny, w tym także wolność życia prywatnego oraz autonomia dokonywanych wyborów. Wolność jest także jedną z fundamentalnych zasad współczesnej doktryny praw człowieka (por. art. 17 ust. 1 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, Dz. U. z 1977 r. Nr 38, poz. 167, oraz art. 8 Europejskiej Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, Dz. U. z 1992 r. Nr 85, poz. 427) (...).

Jednym z przejawów autonomii jednostki i swobody dokonywanych przez nią wyborów jest prawo do decydowania o samym

sobie, w tym do wyboru metody leczenia. Refleksem tego prawa jest instytucja zgody na wykonanie zabiegu medycznego, stanowiąca jedną z przesłanek legalności czynności leczniczych (...).

Niniejsza sprawa świadczy o tym, że oświadczenia takie (przyp. na wypadek utraty przytomności) składane są również w Polsce, co jest zrozumiałe także dlatego, iż nie sposób formułować jakiegokolwiek zakazu ich składania; z punktu widzenia prawa cywilnego są one klasycznymi oświadczeniami woli, materializującymi skorzystanie z przysługującego człowiekowi (pacjentowi) prawa wyboru (art. 60 i nast. k.c.).

Zasada poszanowania autonomii pacjenta nakazuje respektowanie jego woli, niezależnie od motywów (konfesyjnych, ideologicznych, zdrowotnych itp.), toteż należy przyjąć, że brak zgody pacjenta na określony zabieg (rodzaj zabiegów) jest dla lekarza wiążący i znosi odpowiedzialność karną lub cywilną, natomiast w wypadku wykonania zabiegu – delegalizuje go. W piśmiennictwie podkreśla się, że sprzeciw pacjenta powinien być uwzględniany w szczególności wtedy, gdy został uzewnętrzniiony w sposób wyraźny i jednoznaczny, ze świadomością dokonanego wyboru i przyjętych preferencji, zwłaszcza gdy związek czasowy między oświadczeniem a zabiegiem jest dostatecznie ścisły (...).

Oczywiście, za stanowiskiem tym przemawiają również argumenty konstytucyjne, wywodzone z art. 41 ust. 1 i 47, a zwłaszcza z art. 31 ust. 2, zabraniającego zmuszać kogokolwiek do czynienia tego,

czego mu prawo nie nakazuje. Należy mieć na względzie, że – pominiawszy przypadki szczegółowo i wyczerpująco unormowane (...) prawo nie nakazuje pacjentowi poddawać się interwencji medycznej, a lekarzowi pokonywać oporu pacjenta albo przez wykonywanie czynności, na które zgody nie wyraził lub którym się sprzeciwił, albo przez występowanie do sądu, aby taki sprzeciw pozbawić mocy. Warto zwrócić uwagę także na art. 19 ust. 1 pkt 2 i art. 22 ust. 1 pkt 2 i ust. 3 ustawy z dnia 30 sierpnia 1991 r. o zakładach opieki zdrowotnej (Dz. U. Nr 91, poz. 408 ze zm.), które wyraźnie przewidują prawo pacjenta do odmowy poddania się określonemu zabiegowi medycznemu, a także prawo żądania wypisania ze szpitala niezależnie od stanu swego zdrowia; lekarz nie może odmówić wypisania ani wystąpić do sądu opiekuńczego, aby zneutralizować wolę pacjenta, choćby jego stan wymagał dalszego leczenia szpitalnego (...).

Powszechnie, z powołaniem się na konstytucyjną gwarancję wolności, przyjmuje się, że oświadczenie Świadka Jehowy, będącego osobą pełnoletnią i zdolną w pełni do czynności prawnych, musi być respektowane, a lekarze powinni być przygotowani na stosowanie alternatywnych metod leczenia. Decyzja pacjenta może być – w ocenie lekarza – niesłuszna, niemniej zasada poszanowania jego woli, wpisana także w deontologię zawodu lekarza (np. art. 15 i 16 kodeksu etyki lekarskiej), nakazuje ją uszanować (...).

*Autor jest aplikantem
adwokackim.*

ZJAZDY,
KONFERENCJE,
SYMPOZJA

O narządzie słuchu warto posłuchać

Czwarta łódzka coroczna konferencja naukowo-szkoleniowa „Otolaryngologia Łódź” odbyła się w dniach 15-18 listopada 2006 roku, tradycyjnie już w Teatrze im. S. Jaracza.

Poprzedziły ją Międzynarodowe Warsztaty Naukowe na temat „Skutki zdrowotne narażenia na hałas i substancje chemiczne – ototoksyczność rozpuszczalników organicznych”, organizowane w ramach tematu unijnego „NoiseHear” Marie Curie Transfer of Knowledge, podczas którego wykłady wygłosiło czternastu naukowców z zagranicy i trzech badaczy z kraju.

Pomysłodawcą i organizatorem wszystkich czterech konferencji jest prof. dr hab. Mariola Śliwińska-Kowalska, kierownik Kliniki Audiologii i Foniatrii Collegium Medicum Uniwersytetu Łódzkiego i Redaktor Naczelny kwartalnika „Otolaryngologia – Przegląd Kliniczny”. Stroną organizacyjną zajmuje się Mediton – oficyna wydawnicza.

Tematem wiodącym konferencji był wpływ środowiska na narząd słuchu. Jeden z referatów sesji inauguracyjnej poświęcony został regeneracji komórek włoskowatych. Doktor Stefan Heller z USA zwrócił uwagę na fakt, że w warunkach doświadczalnych komórki macierzyste mogą upodabniać się do komórek zmysłowych narządu Cortiego, jednak nie przejmują funkcji receptorów słuchu.

Ważne też są badania genetyczne, prowadzone przez zespół prof. Marioli Śliwińskiej-Kowalskiej, zmierzające do wykrycia genów warunkujących zwiększoną wrażliwość narządu słuchu na hałas. Badaniami objęta jest duża grupa osób z zawodowym uszkodzeniem słuchu, spowodowany hałasem.

Chirurg z Hongkongu, prof. dr Andrew Van Hasselt, przedstawił wyniki leczenia, w tym metody leczenia chirurgicznego, raka jamy nosowo-gardłowej u 2700 chorych z Chin. Duża liczba zachorowań na raka jamy nosowo-gardłowej w Chinach



Prof. dr hab. Mariola Śliwińska-Kowalska – pomysłodawca i organizator konferencji.

stanowi bardzo poważny problem diagnostyczny i leczniczy. Liczba zachorowań na raka jamy nosowo-gardłowej w południowych kantarach Chin wynosi od 300 do 800 przypadków na milion mieszkańców. Przyczyną wysokiej liczby zachorowań mają być czynniki środowiskowe (wędrzone ryby, nitrosoaminy), infekcyjne (wirus Epsteina-Barr) i genetyczne (HLA – A2).

Białystok reprezentowali m.in. dr Mariola Popko, która wygłosiła referat na temat „Moda, nawyki a choroba narządu słuchu”, dr Ewa Olszewska w znakomitym referacie przedstawiła wyniki badań nad patogenezą perlaka z implikacjami klinicznymi, a dr Andrzej Sieńkiewicz prezentował własne doświadczenia w chirurgii endoskopowej zatok. Profesor Elżbieta Hassmann-Poznańska omówiła problem drenażu w wysiękowym zapaleniu ucha środkowego u dzieci.

W dniu otwarcia konferencji uczestnicy wysłuchali inscenizacji opartej na piosenkach Marka Grechuty, w wykonaniu artystów Teatru im. Stefana Jaracza.

Kolejna konferencja odbędzie się w dniach 10-13 października 2007 r.

Stanisław Chodynicki

Prof. dr hab., emerytowany kierownik Kliniki Otolaryngologii AMB.

Miało to być dziesiąte jubileuszowe *Wigilijne Spotkanie Kardiologiczne*. Po dokładnym przeliczeniu okazało się, że nasze obliczenia nie są w pełni zgodne z prawdą.

Pierwsze spotkanie miało bowiem miejsce 20 grudnia 1996 r., w roku objęcia przeze mnie Kliniki Kardiologii. W pałacu Hasbacha odbyło się posiedzenie Białostockiego Oddziału PTK. Większość czasu wypełniła część naukowa, choć główny cel stanowiła próba integracji środowiska podlaskich kardiologów, tych z prawej i z lewej strony ul. Skłodowskiej-Curie, a także z innych ośrodków. Otwierając zebranie, scharakteryzowałem ówczesny stan kardiologii i plany na przyszłość oraz liczne problemy. Przedstawiłem też dr. med. W. Kochmana z Instytutu Kardiologii w Warszawie, który objąć miał kierownictwo pracowni hemodynamiki. Ta pierwsza konferencja, nieco odmienna od obecnych, dała początek kolejnym.

Drugie *Wigilijne Spotkanie Kardiologiczne* odbyło się rok później w hotelu Cristal i rozpoczęło, kontynuowaną przez następne dziesięć lat, tradycję. W wigilię 1997 r. miałem też możliwość przedstawienia dr. med. B. Czecha, ucznia prof. Z. Religi, który powołany został na p.o. kierownika Kliniki Kardiologii. Było nas trzech muszkieterów, przybyszów z różnych stron Polski, mających zmienić obraz podlaskiej kardiologii. Czy nam się to udało?



Wręczenie prof. H. Szved z Instytutu Kardiologii w Warszawie srebrnego sęduska Stowarzyszenia Przyjaciół Serca.

Wigilijne spotkanie ostatniego z muszkieterów

Z satysfakcją mogę stwierdzić, że w ciągu dekady zaszły w kardiologii na Podlasiu ogromne zmiany. Te sukcesy i osiągnięcia cieszą. Wielokrotnie dyskutowaliśmy o nich podczas kolejnych spotkań opłatkowych. Należy jednak pamiętać, że inni nie stoją, a nasze województwo ma nadal w zakresie diagnostyki i terapii chorób serca wiele do odrobienia. Z trójki zostałem sam... Chyba dlatego, że byłem najbardziej doświadczony i zaprawiony w walce z przeciwnościami.

Tradycją wigilijnych spotkań jest wystąpienie konsultanta, podsumowujące bilans mijającego roku. Jak ocenić rok 2006? Mimo trudności, z którymi boryka się cała służba zdrowia, a które dotyczą także naszego regionu, był on dla kardiologii dobry. Liczba chorych z zawałem serca leczonych inwazyjnie po raz pierwszy przekroczyła 1000 (wzrost w porównaniu z rokiem ubiegłym o 37 procent). Myślę, że w tej dziedzinie z powodzeniem mieścimy się w średniej europejskiej. O 1/3 więcej wykonano też angioplastyk wieńcowych, wyraźnie zbliżając się do średniej krajowej. Gorzej jest z badaniami angiograficznymi, wzrost o 11 procent jest dalej znacznie poniżej średniej w Polsce. Ogólnie w kardiologii inwazyjnej widać efekty zainstalowania w Szpitalu Klinicznym drugiego angiografu. Bardzo pomyślne są także wieści w zakresie implantacji stymulatorów serca. W ostatnich dwóch latach zaszły znaczące zmiany jakościowe i ilościowe. W województwie działają już cztery ośrodki wszczepiania rozruszników, a liczba implantacji zwiększyła się o 40 procent. Nie tylko dogoniliśmy, lecz przekroczyliśmy średnią krajową.



Wręczenie prof. M. Myśliwcowi srebrnego serduszka Stowarzyszenia Przyjaciół Serca.

Ogromna w tym zasługa Oddziału Kardiologii Szpitala MSWiA, który podwoił liczbę implantacji.

Są też, niestety, dziedziny kardiologii wyraźnie zaniedbane, w których daleko nam do krajowych standardów. Chodzi o elektrofizjologię i wszczepianie kardiowerterów-defibrylatorów, a także rehabilitację kardiologiczną. Warto podkreślić, że diagnostyka i leczenie arytmii to również postępowanie ratujące życie, podobnie jak koronarografia i angioplastyka w zawałe serca. Podlasiu należy do trzech województw w kraju (razem z lubuskim i warmińsko-mazurskim), nie mających ośrodków wykonujących badania elektrofizjologicznego i ablacji układu przewodzącego. Opóźnia się otwarcie nowej Pracowni Elektrofizjologii i Elektroterapii w Szpitalu Klinicznym

w Białymstoku. Dotąd nie ruszyły roboty adaptacyjne, a ich koszt jest znaczny. Czekają zakupione cenne aparaty. Mimo zapewnień ministra, obawiam się problemów z finansowaniem przez NFZ nowych świadczeń. Plan finansowy na rok 2007 przewiduje bowiem tylko niewielkie zwiększenie środków. Nie chciałbym, aby elektrofizjologia powtórzyła historię Szpitalnego Oddziału Ratunkowego w PSK-a, który gotowy czekał na wyniki rozmów dotyczące finansowania.

Sympatyczny akcent kończący wystąpienie konsultanta to wręczenie srebrnych serduszek Stowarzyszenia Przyjaciół Serca. Przyznawane są one od 2002 r. W roku 2006 nagrodzeni zostali: prof.

cd. na str. 20 ⇨

⇐ *cd. ze str. 19*

H. Szwed z Warszawy za pomoc w tworzeniu elektrofizjologii i elektroterapii, doc. M. Winnicka z naszej uczelni za działalność na rzecz rozwoju kardiologii doświadczalnej oraz prof. M. Myśliwiec za wkład w rozwój nefrokardiologii. Wyróżnienie dla firmy farmaceutycznej otrzymała firma Servier Polska.

Kolejnym punktem programu wigilijnego spotkania jest od lat okolicznościowy wykład, zwykle lżejszy w formie i treści. W dziesięcioletniej historii mieliśmy przyjemność wysłuchania wielu znakomitości. Jednym z pierwszych był prof. W. Drygas z łódzkiej AM, ciekawie i dowcipnie przekonujący o zaletach profilaktyki chorób sercowo-naczyniowych. Gościliśmy prof. F. Walczaka (Instytut Kardiologii Warszawa), świetnego elektrofizjologa i ... górala z krwi i kości, czarującego obecnych góralską gwarą. Zaszczycił nas jeden z liderów polskiej kardiologii, prof. L. Ceremużyński (kierownik Kliniki Kardiologii CMKP w Warszawie, wieloletni prezes PTK i redaktor naczelny *Kardiologii Polskiej*). Był też wykład o dobrodziejstwach czerwonego wina, i to poparty naukowymi argumentami, w wykonaniu prof. W. Buczko, czy o nadciśnieniu tętniczym, chorobie, która dotykała wielkich tego świata, wygłoszony przez prof. M. Myśliwicę. W roku ubiegłym prof. A. Dąbrowski ciekawie rozwinął znane powiedzenie „przez żołądek do serca”. Tegorocznym gościem był prof. K. Jędrzejewski z UM w Łodzi, kierownik Katedry i Zakładu Anatomii Prawidłowej, który z pasją i znanstwem mówił jak na przestrzeni wieków kształtowała się w sztuce znajomość anatomii.

Po części naukowej zebrani odśpiewali kolędę i podzielili się opłatkami. Był czas na życzenia i rozmowy. Nie zabrakło pamiątkowych fotografii. W tym roku miejscem spotkania był wyjątkowo hotel Branicki, ale uroczysta oprawa i atmosfera nie odbiegały od Cristalu. Zadbała o to współorganizująca firma Sanofi-Aventis. Zapraszam za rok, po raz dwunasty

Włodzimierz J. Musiał

*Prof., kierownik
Kliniki Kardiologii AMB.*

Elżbieta Skibińska

Dr med. Klinika Kardiologii AMB.

Rok pracy w nieludzkim mieście

Początek stycznia to nie najlepsza pora roku na przyjazd do Nowego Jorku. Ale wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, smagane wiatrami przeszywającymi aż do szpiku kości, mimo wszystko nie odstrasza turystów. I oto pierwsze wrażenie z Nowego Jorku: nieludzkie, okropne miasto. I wszechogarniający beton... Ale, ale, wiem, że zdanie się zmienia... może nie od razu, ale jednak.

Po kilku odwiedzinach przekonuję się, że ten beton tętni życiem, oddycha i jest jak najbardziej żywą częścią Manhattanu. I ten kłębiący się tłum na 5th Avenue to też część integralna tego miasta, z wyjątkami syrenami pogotowia i szczekającymi wozami straży pożarnej. I klaksonami żółtych taksówek. I targowiskiem świateł na Time Square. Niemal „narkotyczny” Manhattan stał się moim azylem w 2006 roku, roku mojej pracy w NYS Institute for Basic Research in Developmental Disabilities.

Instytut, położony na wyspie, przez ponad dwadzieścia lat był kierowany przez niezwykłego już prof. Henryka Wiśniewskiego, wybitnego neurologa i neuropatologa, zasłużonego w badaniach nad chorobami neurodegeneracyjnymi. Zapoczątkowane przez niego badania kontynuuje zespół prof. Krystyny Wiśniewskiej, pracując nad chorobą Battena (neuronalną ceroidową lipofuscynozą) i Zespołem Downa. Z ogromnym zainteresowaniem włączyłam się w te badania. Atmosfera naukowa instytutu, często praca do późnych godzin wieczornych, rozmowy na korytarzu z ludźmi, którzy pracowali z noblistami sprzyjały kreatywności naukowej. W pierwszych miesiącach pobytu zajęłam się poszukiwaniem nowych białek, które ulegają zmianom w mózgu transgenicznej myszy Ts65Dn posiadającej dodatkowo, w trzeciej kopii, fragment chromosomu

16, homologicznego ludzkiego chromosomu 21, odpowiedzialnego za Zespół Downa. W badaniach proteomicznych porównywałam profil białkowy mózgow myszy transgenicznych i myszy kontrolnych w różnym okresie rozwoju, stosując technikę elektroforezy dwukierunkowej i spektrometrii masowej. Kto wykorzystywał tę technikę w swoich badaniach ten wie, jak potrafi być niewdzięczna. Ale to



NYS Institute for Basic Research in Developmental Disabilities.

świetne narzędzie w proteomice i po kilku miesiącach pracy udało się odkryć kilka interesujących nowych białek.

Kolejnym projektem, w którym uczestniczyłam był projekt badawczy na temat wpływu wzbogaconego środowiska (*ang.* environmental enrichment) na neurogenezę oraz ekspresję białek w mózgu myszy transgenicznych z Zespołem Downa. Metoda „environmental enrichment” polega na polepszeniu warunków hodowlanych zwierząt, powiększeniu wymiarów standardowych klatek, wzbogaceniu środowiska hodowlanego w dodatkowe zabawki, kolorowe przedmioty, kółka treningowe, które zachęcają zwierzęta do wykonywania dodatkowych ćwiczeń fizycznych i zabawy. Udowodniono, że środowisko bogatsze w różne bodźce korzystnie wpływa na neurogenezę i wywiera neuroprotektoryjny efekt u modelowych zwierząt z chorobami neurodegeneracyjnymi. U myszy trisomicznych z Zespołem Downa, wzbogacone środowisko poprawia przede wszystkim pamięć przestrzenną. W swoich badaniach skupiłam się na zbadaniu, czy i w jaki sposób ubogacone środowisko zmienia

ekspresję białkowej kinazy DYRK1A oraz kilku innych białek, które DYRK1A fosforyluje bądź z którymi oddziałuje. Dokładna rola kinazy DYRK1A w komórce nie jest jeszcze ściśle zdefiniowana. Dotychczas wiadomo, że uczestniczy w wielu procesach komórkowych i drogach przekazywania sygnału, szczególnie w procesie tworzenia i rozwoju komórek nerwowych. Gen kodujący *DYRK1A* znajduje się na ludzkim chromosomie 21 (u myszy na chromosomie 16). Wcześniejsze badania pokazały, że w wyniku nadekspresji białka DYRK1A u myszy transgenicznych z Zespołem Downa występują deficyty w procesach uczenia się i zmiany w prawidłowym rozwoju układu nerwowego, co może częściowo uzasadniać udział DYRK1A w patogenezie opóźnienia umysłowego u dzieci z Zespołem Downa.

W naszych badaniach dowiedliśmy, że prosta metoda, jaką jest ubogacenie środowiska w dodatkowe bodźce normalizuje ekspresję białka, którego zwiększona ekspresja u osobników z Zespołem Downa wynika z dodatkowej kopii genu. Czyżby kolejne dowody na to, że aktywny tryb życia oraz liczne zainteresowania popłacają, a nawet mogą zmniejszać ryzyko wystąpienia chorób neurodegeneracyjnych czy w końcu łagodzić konsekwencje genetycznych mutacji?

Na zakończenie wspomnę tylko prof. Andrzeja Vorbrodta, który mimo że ma 80 lat pracuje w Instytucie. I nie tylko pracuje naukowo, publikuje dane, posiada liczne zainteresowania, ale również pięknie maluje.

Katarzyna Jarzabek

Dr n. med. Klinika Rozrodczości i Endokrynologii Ginekologicznej AMB.



Autorka w Dolinie Śmierci w Kalifornii.

Wielki format

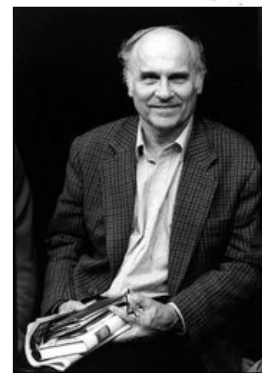
*Wspomnienie
o Ryszardzie Kapuścińskim*

Ryszarda Kapuścińskiego poznałam kilka lat temu, gdy kończył pracę nad książkowym wydaniem *Podróży z Herodotem*. W przeciwieństwie do Niego byłam początkującą dziennikarką, dopiero stawiającą w tym zawodzie swoje pierwsze kroki. Ale to nie reporterska praca była powodem naszego pierwszego spotkania, a moje plany napisania doktoratu z Jego fascynującej twórczości.

Kiedy w końcu udało mi się zdobyć numer telefonu państwa Kapuścińskich długo zwlekałam, nim ośmieliłam się go użyć... Teraz, z perspektywy czasu, wydaje się to zabawne, ale wtedy świadomość, że będę rozmawiała z kimś tak dla mnie ważnym, tak sławnym i mądrym, była wręcz paralizująca. W końcu przemogłam swój lęk i zadzwoniłam, by poprosić o spotkanie. Zgodził się bez wahania. Zaprosił do siebie.

Była wczesna wiosna. Kapuściński czekał, wypatrując mnie z balkonu swojej pięknej, stylowej willi. Uśmiechnął się, pomachał ręką i nim zdążyłam przejść przez bramę – już otwierał mi drzwi na ganek. Cały mój strach, czy nie popełnię jakiejś kompromitującej gafy uleciał. Od samego początku uderzyła mnie Jego niesamowita otwartość i życzliwość, zupełnie pozbawiona choćby cienia dystansu czy snobizmu.

Rozmawialiśmy ponad dwie godziny. I wcale nie było tak, że to On mówił, a ja słuchałam słów Mistrza jak świętej wyroczni. Przeciwnie – Ryszarda Kapuścińskiego interesowało „co u mnie słychać”. Nagle zdałam sobie sprawę, że ten wielki pisarz, który zjeździł niemal cały świat pyta o moje pasje, życiowe decyzje i wybory, o moje literackie fascynacje. Ba! Mało tego. Chciał wiedzieć, jak żyje się młodym ludziom w Białymstoku, czy łatwo tu o pracę, jakie mają możliwości, gdzie się bawią wieczorami. Owocem tego spotkania była audycja „To nie jest takie proste, czyli świat oczami Ryszarda Kapuścińskiego”, która również ukazała się w „Medyku Białostockim”.



1932-2007

Ani przez moment Ryszard Kapuściński nie okazał zniecierpliwienia. Choć był niezmiernie zajęтым człowiekiem, nigdy nie dał mi do zrozumienia, że jego czas dla mnie się kończy. I tak było potem za każdym razem, gdy korzystałam z Jego uprzejmego „stałego” zaproszenia.

Mówi się, że wielkość człowieka poznaje się po tym, jak traktuje on „maluczkich”. Nie chcę być gołosłowna, dlatego podam przykład, który najlepiej opisze, jakiego formatu postacią był Kapuściński. Otóż następnego dnia po naszym pierwszym spotkaniu zadzwonił do mnie i zapytał, czy bezpiecznie dotarłam do Białegostoku, czy wszystko w porządku, czy miałam dobrą powrotną podróż, bo się trochę martwił...

Brak mi słów, by opisać, jak bardzo mi teraz przykro. Jak żałuję, że już Go więcej nie spotkam, nie wypiję kawy w Jego pracowni na piętrze, zarzuconej do granic możliwości książkami, nie zjem z Nim całego opakowania nadziewanych czekoladek, które lubił. Ale zawsze pamiętać będę radosny niepokój oczekiwania, który odczuwałam przed każdym z Nim spotkaniem. I postaram się, by nigdy nie zatarło się w mojej pamięci wrażenie, jakie za każdym razem mnie przepełniało, gdy od Ryszarda Kapuścińskiego wychodziłam: chciało mi się pracować! Chciało mi się uczyć! Chciało mi się czytać, podróżować, rozwijać! Ryszard Kapuściński w cudowny sposób potrafił motywować ludzi do osiągnięcia rzeczy niemożliwych. Pewnie dlatego, że sam wielokrotnie ocierał się o granicę ludzkiej wytrzymałości i zawsze zwycięsko z tej próby wychodził.

Teraz, dzięki temu, że znałam Go osobiście, Jego książki mają dla mnie dodatkowy, nieuchwytny czar...

Agnieszka Kamińska

*Dziennikarka Polskiego
Radia Białostok.*

Po pięćdziesięciu latach od rozpoczęcia studiów w białostockiej Alma Mater pozwalam sobie na chwilę wspomnień o moich profesorach i studenckich latach.

Doskonale pamiętam prof. Witolda Sławińskiego, który na wykład wchodził z asystentami m.in. z panną „Cerkarią” i woźnym Grygo. Po wykładzie czasem witał się ze studentami. Raz podał mi rękę, co bardzo mnie nobilitowało. Na egzamin profesor zapraszał na godzinę piątą rano. Mieszkałem w akademiku, miałem więc blisko. W czerwcowy poranek przyszedłem tam krótko po wyznaczonej godzinie. Zapytałem woźnego czy profesor już wstał, a on mi na to, że profesor już wrócił ze spaceru i czeka na mnie. W czasie egzaminu łatwiej mieli wilniacy, bo profesor zawsze ich faworyzował. Jeżeli student nie zdał egzaminu, profesor wyrzucał jego indeks przez okno. Wskazując na delikwenta, zwracał się do woźnego tymi oto słowami: „Grygo, wyrzuc to g...”.

Po przeciwnej stronie dziedzińca akademii mieścił się zakład histologii, kierowany przez prof. Helenę Lewińską. Była to kobieta delikatna, taktowna, wręcz uosobienie dobroci. Kiedy byłem już na stażu złamała sobie kostkę przyśrodkową podudzia lewego. Po założeniu gipsu, do karetki przenosiliśmy ją na rękach, wspólnie z Bolkiem Lewickim i Jurkiem Pawlicą.

Obok zakładu histologii mieścił się zakład fizyki lekarskiej z prof. Emanuelem Marią Trembaczkowskim. Powiem krótko: fizykę zdałem w drugim terminie, 4 września 1957 roku i tego dnia, również w drugim terminie, zdałem chemię u prof. Juliusza Popowicza. Kationy i aniony oraz molibdemnin sodu nie cieszyły się moim zainteresowaniem.

Nasi profesorowie poświęcali nam wiele czasu, np. profesor Roman Kordecki był często „zmęczony” na egzaminie, ale był wyrozumiały i lubił szybkie odpowiedzi. Profesor Tadeusz Czystohorski wykładał chemię fizjologiczną. Nauczył nas, ile mamy gram i gam. Egzamin zdawało się w jego prywatnym mieszkaniu przy ul. Zamenhoffa. Profesor Ludwik Komczyński, anatomopatolog, robił wrażenie srogiego, ale na egzaminie podpowiadał. Profesor Tadeusz Dzierżykraj-Rogalski łączył anatomie prawidłową z antropologią. Był bardzo elegancki, a na egzaminie towarzyszył mu zawsze pies. Profesor Stanisław Legeżyński martwił się o los swoich bakterii. Na wykładach mówił

Przekąski



Andrzej Chart, 1957 rok.

bardzo szybko. Wykład kończył punktualnie, przerywając nawet zdanie. Następny wykład zaczynał od tego momentu, w którym skończył. Na ćwiczeniach przy oglądaniu preparatów zawsze powtarzał „prawa ręka na mikrośrubie”. W 1959 roku zorganizował spotkanie z profesorem Hilarym Koprowskim, który wraz z Jonasem Edwardem Salkiem wynalazł szczepionkę przeciw chorobie Heinego – Medina. Profesor Koprowski przybył ze Stanów Zjednoczonych. W spotkaniu i wykładzie wzięło udział około 30 osób. Było dużo przeciwników tego spotkania (wiadomo, czas PRL-u).

Profesor Karol Buluk, kierownik zakładu patologii, pracował nad krzepliwością krwi, ale i ochoczno uczestniczył w juwenaliach. Profesor Zygmunt Kaniowski, neurolog, demonstrował srogość, ale był łagodny i życzliwy w stosunku do studentów. Jego konikiem była syryngomielia. Profesor Andrzej Kański, pediatra, swoim tubalnym głosem wprowadzał nastrój przyjaźni i zaufania. Profesor Jakub Chlebowski, internista, był wspaniałym wykładowcą. Każdą jednostkę chorobową omawiał na przykładzie chorego. Organizował balneologiczne wycieczki dla studentów do sanatoriów krajowych.

Pomagał mu w tym Jasio Stasiewicz, syn profesora Witolda Stasiewiczza. Profesor Stasiewicz prowadził zajęcia z organizacji służby zdrowia. Był człowiekiem wielkiej kultury i elegancji.

W tym czasie mieliśmy okazję korzystania z wiedzy dwóch genialnych chirurgów. Profesor Feliks Oleński swoje wykłady ozdabiał kolorowymi rysunkami. Korzystając z tablicy, na której wyrysowane były wszelkie szczegóły anatomiczne, omawiał przebieg i sposób wykonania konkretnych operacji chirurgicznych. Profesor Tadeusz Jankowski, zajmujący się chirurgią trzustki, w książce Francisca Morra „Metabolizm w chirurgii”, wymieniany jest obok Crofforda i Jensena (notabene Crofford wraz ze swoimi instrumentariuszem Flybergiem w 1956 roku w Warszawie operował raka trzustki u przewodniczącego Rady Państwa – Aleksandra Zawadzkiego).

Szlachetne grono naszych profesorów tworzyli prof. Maria Byrdy – medycyna sądowa, prof. Maria Rudobielska – pediatria, prof. Maria Seidler-Dymitrowska – okulistyka, prof. Beata Bogdanikowa – choroby wewnętrzne, prof. Piotr Boroń – choroby zakaźne, prof. Janusz Lesiński – dermatologia, prof. Bogdan

wspomnień

Hoffmann – higiena, prof. Wiktor Hassmann – laryngologia, prof. Jerzy Łebkowski – neurochirurgia, prof. Lucjan Korzeniowski – psychiatra, prof. Władysław Pręgowski – gruźlica, prof. Stefan Soszka – ginekologia, prof. Józef Musiatowicz – położnictwo, prof. Andrzej Cretti – ginekologia, prof. Aleksander Krawczuk – położnictwo.

W czasie naszych sześcioletnich studiów koleżanki i koledzy żywo uczestniczyli w kołach zainteresowań. Koło ortopedyczne, do którego należałem razem z Harasiukiem, Boczoniem, Pawlicą, Cieniawą, Lewickim, prowadzone było przez dr. Kazimierza Molskiego. Wielokrotnie asystowaliśmy lekarzom podczas zabiegów ortopedycznych. W ramach zajęć nakręciliśmy film o człowieku, który miał wrodzony zanik mięśni kończyn górnych „arthrogryposis congenita”. Człowiek ten ubierał się i golił przy pomocy palców stóp, a nawet prowadził zakład fotograficzny. Na zjeździe przedstawiliśmy ten film, zaś referat do niego wygłosiłem

ja. Zajęliśmy drugie miejsce. Na zjeździe studenckich kół naukowych w 1961 roku w Lublinie wygłosiliśmy referat pt. ”Stopa płaska statyczna u młodzieży w wieku 10 – 16 lat na terenie miasta Białystok”. Przebadaliśmy 2764 dzieci, mając dokumentację plantograficzną, wagę i wzrost.

W uczelni działał chór akademicki. Zajęcia prowadzili profesorowie Waław Geiger i Kulisiewicz. Kilka osób z naszego roku śpiewało w chórze – w tym ja.

Oprócz śpiewania grałem też w tenisa stołowego. Pięciokrotnie byłem mistrzem akademii, Józefowi Sienkiewiczowi pomogłem w zdobyciu mistrzostwa województwa w deblu. Razem z Andrzejem Bagińskim i Jerzym Nawarą dwukrotnie zdobyliśmy drużynowe mistrzostwo województwa. W parze z Kazimierzem Kobusem grałem w brydża sportowego w drugiej lidze krajowej.

Tadeusz Cieniawa, kolega z roku, narysował i przygotował do wydania album karykatur profesorów, który ukazał się

w 1963 roku. Album był ze zdjęciami naszych kolegów. Ja napisałem wstęp do albumu.

Pracując uczciwie w medycynie, fortunę się nie dorobiliśmy. Żaden rząd nie dbał o lekarzy. Kilkoro kolegów nie zasypiało gruszek w popiele i dochrapało się tytułów profesorskich, a są to: Danuta Dzierżanowska, Jerzy Hoffmann, Jerzy Janica, Józef Kleniewski, Janusz Lewko. Andrzej Litorowicz uzyskał habilitację. Inni nasi koledzy, jak Krzysztof Chętnik i Siniakowicz piastowali urzędy lekarza wojewódzkiego, czyli temu dali, a tamtemu dodali.

Żyliśmy w czasie, gdy świat został obdarzony najgenialniejszymi ludźmi. Myślę o matce Teresie z Kalkuty i Karolu Wojtyłe – papieżu. Oni są, tak jak i wielu z nas, już na wiecznej warcie, w domu Pana, a my musimy z żywymi naprzód iść – na cele i na salony. Ech życie...

Andrzej Chart

Specjalista chirurg.



O serdecznym kardiologu

*Problemem naszego wieku nie
jest bomba atomowa, lecz serce
ludzkie.*

Albert Einstein

Jan Kazimierz Kwoczyński przyszedł na świat 14 maja 1915 roku w Sobeslavii. W 1939 roku został absolwentem medycyny Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie kampanii wrześniowej był plutonowym 13. Kompanii Sanitarnej. Następnie był lekarzem batalionu i ordynatorem w angielskim szpitalu RAF i szpitalu wojennym. W latach 1940-1946 kierował opieką sanitarną grupy brygadowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Środkowym Wschodzie we Włoszech i w Wielkiej Brytanii. Owocem jego pracy w klimacie podzwrotnikowym był skrypt pt. „Choroby Krajów Gorących”, wydany w 1941 roku.

J.K. Kwoczyński odbył staż naukowy w North-East London Postgraduate College i w Institute of Cardiology w Londynie w roku 1947. Po powrocie do kraju organizował i kierował, w latach 1947 – 1953, Pracownią EKG Szpitala Miejskiego Nr 6. Pracował również w Oddziale Chorób Układu Krążenia Szpitala Sióstr Elżbietanek, który później zmienił nazwę na Katedrę i Klinikę Kardiologii Studium Doskonalenia Lekarzy (SDL).

W 1953 roku osiągnął drugi stopień specjalizacji w dziedzinie chorób wewnętrznych. W 1949 roku obronił pracę doktorską, a pięć lat później uzyskał habilitację. Wyrazem jego zainteresowań fizyką biomedyczną było wynalezienie metody stereoskopowej wektrokardiografii przestrzennej oraz konstrukcja oprzyrzą-



**Jan Kazimierz Kwoczyński
1915 – 2006**

dowania do wykonywania tego badania. Poza tym zainspirował zaprojektowanie aparatu do pomiaru rzutu minutowego za pomocą reografii impedancyjnej, pulsomonitorka i komputera rzutu minutowego.

Na czas jego pobytu w Institute for Medical Research w Los Angeles przypada współpraca z Myronem Prinzmetalem i wyróżnienie tzw. dusznicy odmiennej (anginy Prinzmetala) w roku 1959. Odtąd Jan Kwoczyński należał do American College of Cardiology, a od 1961 r. był członkiem American College of Chest Physicians. W latach 1960-1962 kierował Oddziałem Chorób Wewnętrznych Centralnego Szpitala Kolejowego w Międzylesiu koło Warszawy. W roku 1963 otrzymał posadę kierownika Kliniki Kardiologii Instytutu Reumatologii, którą

zajmował do 1973 r., z przerwą – w latach 1970-1972 – na pobyt w Nigerii jako profesor Uniwersytetu im. Hamadu Bello w Zarii. W 1967 roku odebrał nominację na profesora nadzwyczajnego.

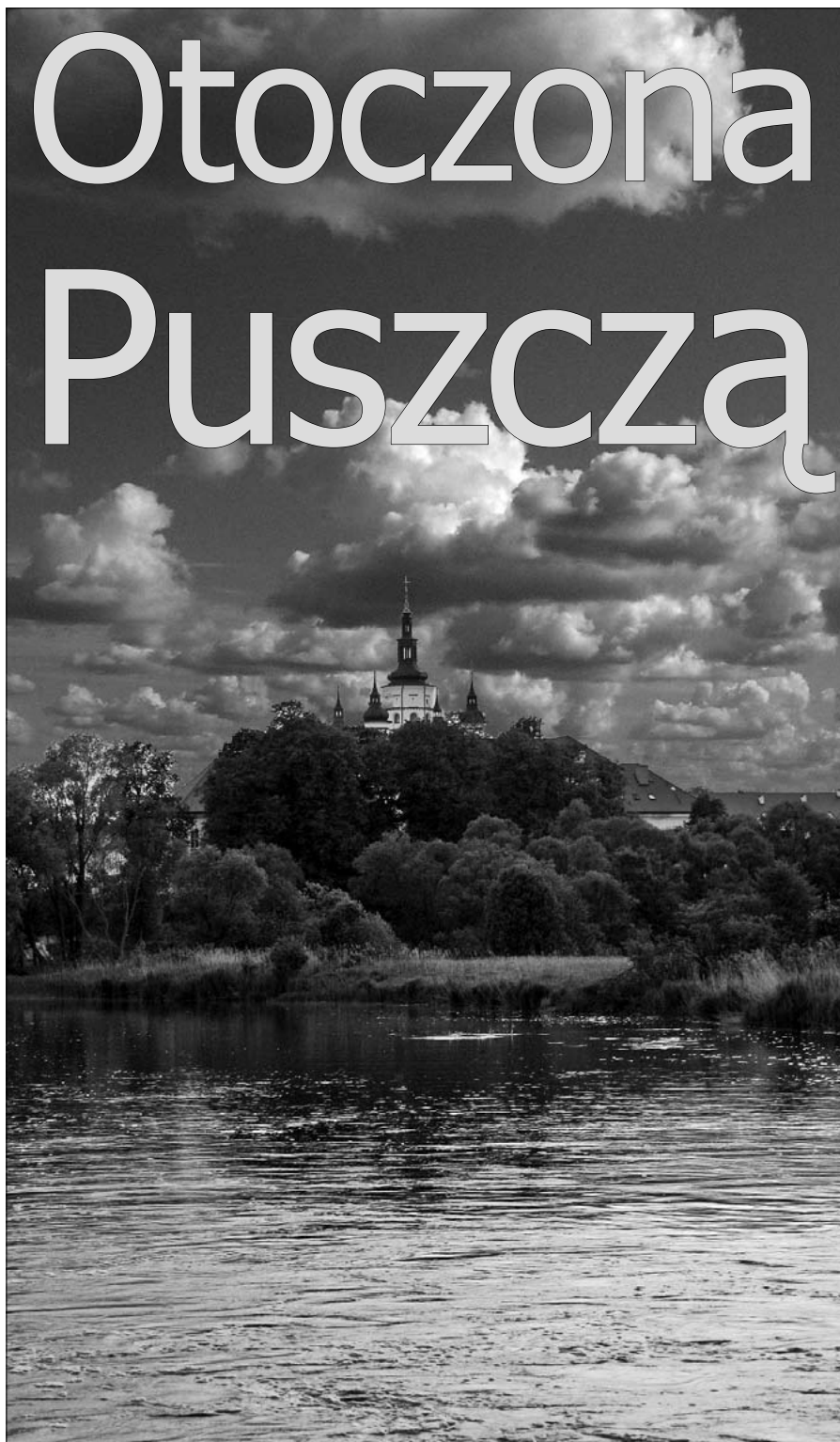
W latach 1973-1980 prof. Kwoczyński zarządzał Kliniką Kardiologii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego i przez dwie kadencje, w latach 1973-1979, jego prezesem. Już na emeryturze spędził rok na Malcie w charakterze konsultanta Szpitala St. Luke's, a w okresie od roku 1981 do 1982 był profesorem Uniwersytetu w Jos w Nigerii.

W roku 1983 został Członkiem Honorowym Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. Był autorem ponad 120 publikacji w tym licznych prac naukowych, doniesień zjazdowych oraz rozdziałów w podręcznikach. Jana Kwoczyńskiego uhonorowano licznymi wyróżnieniami m.in. Nagrodą Państwową, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Medalem Towarzystwa Naukowego im. Jana Ewangelisty oraz odznaczeniami Imperium Brytyjskiego: Africa Star, Italy Star, Campaign Star. Swoje bogate doświadczenia wojenne opisał we wspomnieniowej książce pt. „Gwiazdy Wojenne”, wydanej w roku 2002. Zmarł 20 października 2006 roku. Pozostawił po sobie liczne grono wychowanków, dla których był nie tylko znakomitym lekarzem i naukowcem, ale również autorytetem etycznym.

Andrzej Wincewicz

*Doktorant w Zakładzie
Patomorfologii AMB.*

Otoczona Puszczą



Nad rzeką Supraśl – Cerkiew obronna p.w. ZNMP w Supraślu.

W północno-wschodniej części Polski rozciągają się rozległe bory i lasy Puszczy Knyszyńskiej. Osobliwie urozmaiconą rzeźbę terenu puszczy stworzył wytapiający się lodowiec, pozostawiając wiele malowniczych wzgórz, stromych stoków, wydm, kotlin i dolin. W Puszczy Knyszyńskiej ilościowo dominują bory sosnowe, sosnowo-świerkowe, gdzie króluje imponującej

wysokości sosna zwyczajna, zwana supraszką. W wielu miejscach pod wpływem gęstej sieci naturalnych cieków, wód podziemnych, powierzchniowych i opadowych wykształciły się wilgotne i bagienne siedliska. Tereny wzdłuż wielu rzeczek, licznych strumieni i źródeł puszczy porasta olsza, z domieszką jesionu i świerka. Te niedostępne tereny stwarzają bezpieczne warunki dla wielu gatunków zwierząt.

Większość obszaru Puszczy Knyszyńskiej leży w dorzeczu rzeki Supraśl. Jej źródła znajdują się na bagnach i mokradłach, na wysokości 151 m n.p.m. na północ od wsi Topolany, w pobliżu miejscowości Michałowo. W górnym biegu Supraśl płynie wąską strugą, zarośniętą trzcinami i roślinnością wodną. Dalej silnie meandruje, tworzy malownicze przełomy, przez cały czas otoczona lasami, od których odgradzają ją szersze i węższe pasy wilgotnych łąk, turzycowisk lub szuwarów. Niekiedy dotyka ściany lasu, a brzeg jej bywa stromy i niedostępny. Zasilana jest krystalicznie czystymi źródłanymi wodami puszczy i przez niewielkie rzeki Dzierniakówkę, Słoję, Sokołdę, Płoskę, Jałówkę, Czarną i Białą. Cała dolina Supraśli obfituje w złoża torfu, a czyste jej wody sięgają Wasilkowa. Tam miejskie ścieki mącą jej wody, czyniąc przyrodzie wielkie szkody. Po ponad 93 km w miejscowości Złotoria, szeroka na 20 m Supraśl wpada do Narwi.

Supraśl płynie przez najchłodniejszy w Polsce, poza górami, region bioklimatyczny. Położenie puszczy na styku klimatu kontynentalnego i atlantyckiego wpływa na różnorodność i bogactwo gatunkowe występujących na tym obszarze roślin i zwierząt. Wiele z nich to gatunki rzadkie i ginące. W wodach rzeki zakwitają grązele żółte, grzybienie białe, na bagiennych łąkach pełnik europejski, kosańce, wielosił błękitny, tojeść bukietowa. W rzece żyją pstrąg i lipień. Wody i dolinę zamieszkują cyraneczka, płaskonos, remiz, bekas krzyk, derkacz, bocian czarny, żuraw, bielik, kania ruda. Mieszkańcami wód są wydry i licznie już występujące bobry.

Nad rzeką Supraśl leżą miejscowości Michałowo, Gródek, Nowosiółki, Supraśl, Wasilków, Fasty. Najciekawszą z nich jest zabytkowe miasteczko Supraśl, które często odwiedzał Witold Sławiński, profesor Akademii Medycznej w Białymstoku, biolog i krajoznawca. Profesor był badaczem puszczy i rzeki, odkrywcą złóż leczniczych. Doceniając bogactwo i urok otaczającej go przyrody, czynił wiele starań o jej zachowanie i ochronę. Jego imieniem nazwano utworzony w 1988 roku Park Krajobrazowy Puszczy Knyszyńskiej.

Anna Worowska

*Dr n. med. w Klinice Chirurgii
Naczyń i Transplantacji AMB.*

Wyścig

MAGDALENA GRASSMANN

Jadąc z Białegostoku w kierunku Siemiatycz, możemy zobaczyć kilka ciekawych zespołów dworsko-ogrodowych. Jednym z nich jest leżący wśród rozległych pól, niedaleko Bociek, majątek Dołubowo. Zainteresowanym polecam dojazd drogą przez Brzeziny-Janowieta, gdyż pozostałe drogi przeznaczone są raczej do jazdy terenowej.

Dwór leży na końcu wsi o tej samej nazwie. Jego widok budzi zachwyt i żal zarazem. Duża, drewniana, parterowa budowla z poddaszem, odbijająca się w tafli pięknego stawu, dostojna czterorzędowa aleja dojazdowa z kasztanowców i grabów, resztki dawnego sadu sprawiają, że choć przez chwilę można poczuć dawną atmosferę tego miejsca, wyobrazić sobie jego wygląd sprzed stu lat. Ów sen o przeszłości burzą jednak pozabijane deskami i blachą okna, powybijane szyby, ohydne budynki z pustaków oraz usłany porozbijanymi butelkami i śladami obecności zwierząt hodowlanych ogród.

U źródeł Sielczanki

Historia majątku rozpoczęła się w połowie XV wieku, kiedy u źródeł rzeczki Sielczanki rodzina Łyczków zbudowała dwór. W pewnej odległości od majątku Wit Łyczko, sędzia brański, osadził także wieś Dołubowo, w której ufundował kościół pw. św. Piotra i Pawła. Pod koniec XV wieku jako właściciel był już wymieniany Jan Steczko, zwany Cybulką, starosta drohicki i marszałek nadworny litewski. Według niektórych badaczy historii regionalnej, Cybulko w testamencie zapisał swoje dobra ziemskie, w tym Dołubowo, królowej Bonie. Jednak w wyniku późniejszego rozdziału majątku, do realizacji wspomnianego zapisu nie doszło. Po Janie Steczce jako właściciele wzmiankowani byli kolejno Jan Nieciecki, Maciej Rospond, Jan Harynek. W połowie XVI wieku dokonano pomiarów siedziby, wykonano w niej wiele istotnych prac remontowych, a istniejący ogród zyskał renesansowy, regularny kształt. Z tego czasu pochodzą też dwa stawy.

W duchu baroku

W pierwszej połowie XVII wieku Dołubowem zarządzali Oborscy, zaś po nich, w wyniku mariażu, posesorem stał się Arnold Łaguna, chorąży zakroczymski. W świetle źródeł historycznych jawi się on jako postać dbająca o rozwój majątku i wsi. W 1662 roku dzięki jego zabiegom Dołubowo otrzymało przywilej na cotygodniowe niedzielne targi oraz trzy jarmarki. Łaguna przebudował swoją siedzibę zgodnie z panującym wówczas duchem baroku. Stawy otoczono boskietami i parterami kwiatowymi. Po śmierci Łaguny majątek podzielono między rodzinę Brzozowskich i Łyczków. Dziedzicem Dołubowa i pobliskich Smoluch tytułował się nawet Mikołaj Henryk Firlej, kanonik katedralny krakowski. Następnie majątek przeszedł w ręce rodziny Orzeszków. W 1719 roku dwie siostry Orzeszkówny podzieliły go między siebie. Gdy obie panny wyszły za mąż Dołubowo stało się własnością Karwowskich i Markowskich.

Niezwykli mieszkańcy

W XIX wieku Dołubowo odkupiła rodzina Pieńkowskich. Na kartach historii zapisali się oni niezwykle zacnie. Kajetan Ludwik Pieńkowski był komisarzem powiatu bielskiego w powstaniu styczniowym. Za swój udział został aresztowany i osadzony w więzieniu w Grodnie. W więziennej kaplicy Kajetan ożenił się z Wiktoria Władyczańską, uwięzioną także za udział w powstaniu. Młoda para spędziła pierwsze „miodowe” lata swego życia na Syberii. Gdy Pieńkowscy po ośmiu latach powrócili do Dołubowa, tchnęli w opustoszały dwór nowe życie. Porządki zaprowadzono w ogrodzie, gdzie uregulowano i oczyszczono stawy, zasadzono m.in. czterorzędową aleję kasztanowcowo-grabową, zachowaną do dziś. Zbudowano także murowany spichlerz i stajnię, według relacji miejscowych, długą na trzydzieści metrów. Dołubowo znów tętniło życiem, słynne były zwłaszcza imieniny właścicielki, na które zjeżdżała



Elewacja ogrodowa. Stan obecny.

Z czasem



Pozostałości dawnej stajni. Stan obecny.



XIX-wieczny spichlerz. Stan obecny.

się szlachta z całego powiatu. Jednym z synów Pieńkowskich był Ignacy, późniejszy uczeń Leona Wyczółkowskiego i Teodora Axentowicza. Kształcił się w Warszawie, Krakowie, Paryżu, Monachium, a nawet w Rzymie. Inspiracją do części jego

obrazów były nadbużańskie krajobrazy, podlaskie dworki. Po Leonie Wyczółkowskim otrzymał katedrę malarstwa w ASP w Krakowie, zmarł w 1948 roku. Jego grób można odnaleźć na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Trudne lata

W 1907 roku majątek Dołubowo odkupił od Pieńkowskich Stanisław Jakub Łowicki. Za jego sprawą w 1912 roku wzniesiono drewniany parterowy dwór, który możemy nadal podziwiać. Do samej kompozycji ogrodowej nie wniesiono większych zmian. W rękach Łowickich Dołubowo pozostawało do 1939 roku. Działania wojenne przyniosły pewne zniszczenia wśród zabudowań gospodarczych oraz drzewostanu. Ostatni dwaj właściciele Dołubowa tragicznie zginęli w Katyniu. Pozostała część rodziny wyemigrowała do Wielkiej Brytanii.

Po wojnie majątek uległ parcelacji. Z 667 hektarów pozostały 3 hektary ogrodów przy dworze. Nowym właścicielem dołubowskiego dworu została szkoła podstawowa, która mieściła się tutaj aż do końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Dawny spichlerz i stajnia trafiły do rąk miejscowych rolników. W 1998 roku majątek odkupili spadkobiercy Stanisława Jakuba Łowickiego. Niestety nie udało się im odtworzyć dawnej kompozycji dworskiej. Według relacji okolicznych mieszkańców, ponad rok temu dwór wraz z ogrodem odkupiła inna osoba. Do dnia dzisiejszego nie podjęto jednak żadnych prac remontowych.

Nadzieja

Choć dzisiaj widok dołubowskiego dworu może nie przedstawia się najlepiej, jest jednak nadzieja na lepszą przyszłość. Na szczęście parcelacja gruntów dość łagodnie obeszła się z dworem i jego najbliższym otoczeniem, a istnienie w XX wieku szkoły uchroniło go być może przed totalną ruiną. Przy rozsądnym, pełnym chęci i zapału gospodarzu oraz z pomocą finansów unijnych można temu miejscu przywrócić dawny charakter. Byłoby dobrze gdyby te działania rozpoczęły się stosunkowo szybko.

*Autorka jest historykiem,
pracownikiem Biblioteki
Główniej AMB.*



ADAM DOBRÓŃSKI

Taki tytuł nosi książka poświęcona byłemu miastu, dziś centrum jednej z najbardziej ambitnych gmin na Podlasiu. Tom to nie o Sokółce i nie Sokołowie Podlaskim, co potwierdza wersja przymiotnikowa nazwy: sokolski, nie zaś sokólski lub sokołowski. Co niektórzy czytelnicy z pewnością wiedzą też o wsi Sokole ze stacją kolejową na unieruchomionej linii kolejowej z Białegostoku do Zubek Białostockich, a niegdyś przez Wołkowysk i Baranowicze do Moskwy. Skoro o kolei mowa, to „bohater” tej opowieści też leży przy „drodze żelaznej”, również obecnie nieczynnej, a wiodącej z Łap przez Śniadowo do Łomży i Ostrołęki.

Tak, to Sokoły w powiecie wysokomazowieckim.

Geneza miasta

Dolina Narwi od wieków była drogą komunikacyjną i przyciągała osadników, o czym wiedzą dobrze archeolodzy, historycy i językoznawcy. Jedna z dogodnych przepraw przez rzekę leżała w rejonie Waniewa, tędy wiódł trakt z Mazowsza na Litwę, a wioska Sokoły zyskała również połączenia lądowe z Surazem, Tykocinem, Wysokiem (Mazowieckiem). Cechą charakterystyczną na pograniczu mazowiecko-podlaskim było liczne osadnictwo drobnego rycerstwa. Zrazu decydowały o tym względy militarne, potem głównie ekonomiczne. Pierwsze wzmianki o Sokołach pochodzą z lat czterdziestych XV wieku. W 1471 roku istniał tu kościół drewniany p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, świętych Mikołaja Wyznawcy i Doroty. Wieś Sokoły należała do powiatu (sądowego) suraskiego w ziemi bielskiej,

Z sokołem

zaś parafia wchodziła w skład diecezji łuckiej (Łuck na Wołyniu).

Sokoły dzieliły dole i niedole z całym południowo-zachodnim Podlasiem. W czasie „potopu” w okolicy przemieszczały się oddziały hetmana Wincentego Gosiewskiego, w tym szczególnie groźni dla ludności cywilnej Tatarzy. Mimo zniszczeń i epidemii osada nie poddawała się. W połowie należała do Sokołowskich herbu Gozdawa, a drugą część stanowiła własność Kruszewskich herbu Abdank. Powiększało się stopniowo władztwo proboszcza, przybywało Żydów i tak zwanej szlachty brukowej, przenoszącej się z zaścianków. Po III rozbiórce Polski i tu na krótko władzę przejęli Prusacy, w 1807 roku Sokoły znalazły się w Księstwie Warszawskim, a po 1815 r. w Królestwie Polskim. Tym samym bliższa była im mazowiecka Łomża niż podlaski Białystok. Dzięki staraniom Marii (Maryanny) z Kruszewskich Markowskiej, w 1827 r. Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji postanowiła „wynieść na miasto wieś czyli osadę handlową Sokoły Kościelne do dóbr Kruszewo Głomby (*Głoby*) należące...”. W 1857 roku w mieście tym naliczono ponad 1,5 tysiąca mieszkańców, 80 domów drewnianych i 3 murowane. Zanośliło się na szybki rozwój, ale po powstaniu styczniowym Sokoły utraciły prawa miejskie.

Na przekór zaborcom

Gminne Sokoły zyskały sławę jako miejsce targów i wielkich jarmarków. Handlowano tu głównie bydłem, sprzedawano wyroby rękodzielniczo i produkty rolne, kupowano towary fabryczne. W listopadzie 1893 roku ruszyły pociągi drogą żelazną z Łap przez Kruszewo i Śniadowo do Ostrołęki, ożywił się bardzo ruch na nowej szosie z Białegostoku przez Sokoły i Wysokie do Zambrowa. Ważnym wydarzeniem stało się powołanie w Sokołach Ochotniczej Straży Ogniowej, przybywało przedstawicieli inteligencji, a od 1905 r. również stowarzyszeń świeckich i kościelnych. Aż trudno uwierzyć, że w 1909 roku Sokoły liczyły 4150 osób. W osadzie przeważali jednak wyraźnie wyznawcy moźjeszowi, w okolicznych zaś zaściankach dobrze miała się drobna szlachta. Do największych jej skupisk w gminie sokolskiej zaliczano

miejsowości: Bruszewo, Bujny, Drągi, Faszczce, Gąsówka Osse i Skwarki, Idźki Wykno i Młynarskie, Jamiołki Piotrowięta, Kruszewo Brodowo, Perki Wypychy, Karpie, Lachy i Mazowsze, Penzy, Płonka Kozły, Rzące, Roszki Wodźki, Truskolasy Lachy i Olszyna. Asanowie podtrzymywali polskość i katolicyzm. Wielkim przeżyciem dla całej parafii była budowa, w latach 1906-1912, neogotyckiej, okazałej świątyni, która i dziś jest symbolem Sokół, widocznym z dużej odległości.

Utrzymuje się również prestiż zespołu szkół rolniczych w Krzyżewie. Początek dała mu Stefania Karpowicz (1876-1974), która przy wsparciu matki Bronisławy, własnym sumptem wybudowała nowoczesny gmach, a z pomocą Centralnego Towarzystwa Rolniczego zapewniła kadre i program nauczania. W początkach stycznia 1913 roku rozpoczął się w Krzyżewie pierwszy w naszym regionie kurs rolniczy, na który ściągnęli kandydaci z wielu regionów Królestwa Polskiego i z ziem zabranych (kresowych). Inicjatorka tego niezwykle przedsięwzięcia zadbała o zajęcia praktyczne oraz wychowanie patriotyczne. To wspaniały przykład podlaskiej „siłaczki”. A była osobą wykształconą, nauki pobierała w Warszawie i Krakowie, w Szwajcarii, Paryżu i Monachium. Malarstwa uczyła się u Jacka Malczewskiego i Włodzimierza Tetmajera, studia medyczne dały jej możliwość leczenia ludzi.

Między wojnami

„Urodziłem się w Jamiołkach Kowalach w rodzinie rolniczej dnia 19 lutego 1907 roku. Dzieciństwo moje nie było zbyt wesołe (...). Po ogłoszeniu niepodległości w Polsce wyglądało to tak, jakby po wielkiej burzy ukazało się słońce. Naród cieszył się tym słońcem, oddychał czystym, świeżym powietrzem po 123-letniej niewoli. Początkowo zaczęto organizować szkoły po wsiach. Nie były to szkoły podobne do dzisiejszych. Mieściły się w prywatnych domach, często nie nadających się do tego celu. Brakowało podręczników, zeszytów i przyborów do pisania. Powstające szkoły liczyły tylko cztery klasy, ale mimo to było brak nauczycieli z przygotowaniem pedagogicznym. To i co roku ich zmieniano” (Piotr Jamiołkowski).

w herbie

Według spisu 1931 roku w Sokołach – znów miście – mieszkało tylko 2028 osób. Centrum stanowił, jak i poprzednio, rynek, wokół którego wznoszono coraz częściej budynki murowane i piętrowe. Tak zwana „parówka” (młyn parowy) zapewniała dopływ prądu elektrycznego oraz oświetlenie ulic. Autor przewodnika z 1937 r. uznał Sokoły za brzydkie, a z nowych obiektów wyróżnił szkołę. Ciekawą historię ma dawna cerkiew unicka, wzniesiona w 1758 roku w Tykocinie, przeniesiona na cmentarz w Sokołach w 1833 roku. Na cmentarzu tym złożono w 1875 roku trumnę ze zwłokami Karola Glogera, stryja znakomitego Zygmunta, autora „Encyklopedii staropolskiej”, ziemianina z Jezewa.

Miasto wywodzące swą nazwę od sokołów, ptaków łownych, stało się i miejscem silnych emocji politycznych. Chrześcijanie, zwłaszcza herbowi, popierali w większości obóz narodowy Romana Dmowskiego, a że biedy tu nie brakowało, więc w połowie lat trzydziestych XX wieku pogorszyły się relacje z wyznawcami moźeszowymi. W 1937 roku doszło nawet do zamieszek, użyto broni, połała się krew.

Jaruzelscy

Z okolicami Sokół związał swój los Antoni Józef Jaruzelski, herbu Ślepowron. Jego syn Wojciech poszedł do powstania styczniowego, co skończyło się zsyłką na Sybir. Wrócił jednak w rodzinne strony, ożenił się, miał czterech synów. Najmłodszy z nich – Władysław Mieczysław uzyskał wykształcenie rolnicze, jako oficer ułanów wziął udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku, potem zarządzał majątkami. Podczas pobytu w Rusi Starej zapłonął afektem do Wandy Zarembianki z niedalekich Trzecin. Młodzi pobrali się w 1922 roku w Dąbrowie Wielkiej, a zamieszkali w Kurowie koło Puław, gdzie 6 czerwca 1923 roku przyszedł na świat ich pierworodny syn Wojciech, późniejszy generał i prezydent. Cała rodzina w 1925 roku wróciła do Trzecin i tu gospodarowała z wielkimi sukcesami, zwłaszcza w hodowli

krów mlecznych. 10 września 1939 roku Władysław Mieczysław Jaruzelski ewakuował się z najbliższymi na Litwę, tam jednak dopadli ich, w czerwcu 1941 r., Sowieci. Władysław zmarł w Bijsku wskutek wycieńczenia łagrowego, syn z Syberii trafił do „kościuszkowców”, matka z córką Teresa wróciła do Polski w 1946 roku.



Neogotycki kościół w Sokołach (budowany w latach 1906-1912).

Drugi syn Wojciecha, Stefan, otrzymał rodową posiadłość Ruś Starą, dał się też poznać jako sędzia w Sokołach. To on w latach 1930-1931 wznosił nowy drewniany dwór, stojący do dziś i widoczny z szosy białostockiej. Stefana przed wywózką na Sybir za „pierwszego Sowietą” uratowali fornale, a „za Niemca” był on niemieckim zarządcą własnego majątku, który po wojnie rozparcelowała władza ludowa. Ten stryj gen. Jaruzelskiego zmarł w 1963 roku i został pochowany w Jabłoni Kościelnej.

Trzeci z synów Wojciecha, Antoni Jaruzelski, ukończył za cara gimnazjum łomżyńskie, dosłużył się stopnia pułkownika. W 1920 roku dostał się do niewoli bolsze-

wickiej, ale szczęśliwie zbiegł z niej i przez Chiny wrócił do Polski. Mieszkał w Grajewie, Rusi Starej. Został aresztowany przez NKWD nocą z 6 na 7 stycznia 1940 r., prawdopodobnie zmarł w białostockim więzieniu. Tyle, w wielkim skrócie, o tej ziemiańskiej rodzinie.

Tragiczne lata

O II wojnie już nieco napisałem. W sierpniu 1940 roku miasteczko Sokoły rejonu łapskiego liczyło według danych sowieckich 3939 mieszkańców, w tym 1921 Polaków (48,8%), 2015 Żydów (51,1%), 3 Białorusinów (0,7%). Zachowania oku-

panta były podobne jak i w innych miejscowościach regionu. Niemcy po 2 listopada 1942 roku rozpoczęli likwidację miejscowego getta. Nasiliły się ich represje przeciwko Polakom. Piękną kartę zapisali miejscowi konspiratorzy, wyróżniły się zwłaszcza dwa oddziały AK: „Kedyw” Tadeusza Westwala „Karasia” i oddział dywersyjny por. Kazimierza Kamińskiego „Huzara”.

Nadal nie są jasne okoliczności mordu dokonanego w sobotę 17 lutego 1945 roku w mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej 32. Przebywało tam około 20 Żydów w różnym wieku, z nich 7 osób (w tym 4-letnia dziewczynka i 13-letni chłopiec) nie przeżyło najścia żołnierzy podziemia. Nie wiadomo, kto i za co miał zostać wówczas zlikwidowany. Mówi się o szpiclach NKWD, osobach współpracujących z Sowietami i UB.

Trzeba będzie dopiero napisać historię najnowszą Sokół, które po raz drugi zostały pozbawione praw miejskich.

Wielki rodak

Stanisław Dworakowski urodził się w Dworakach Pikatach w 1907 roku, a od 1946 do 1976 roku mieszkał w Sokołach przy ulicy Nowy Świat. W dwudziestoleciu międzywojennym dał się poznać jako ofiarny etnograf, badacz stron rodzinnych i Polesia. Tak powstała m.in. broszurka „Zwyczaje rodzinne w powiecie wysokomazowieckim”, wydana w Warszawie w 1935 roku. Po wojnie zaś pan Stanisław przygotował i opublikował obszerną monografię: „Kultura społeczna ludu mazowieckiego nad Narwią” (Białystok 1964 r.). Ta publikacja

cd. na str. 30 ⇨

⇐ *cd. ze str. 29*

cieszy się do dziś zasłużonym uznaniem, są w niej zawarte opisy obrzędów i zwyczajów mieszkańców pogranicza podlasko – mazowieckiego. Autor nie tylko zrejestrował i przebadał zjawiska mu współczesne, ale również uratował od zapomnienia wcześniejsze zachowania szlachty zagrodowej oraz, w mniejszym stopniu, włościan z terenów nadnarwiańskich.

Warta przypomnienia jest kariera naukowa Dworakowskiego, wprowadził syna szlacheckiego, ale z ubogiej rodziny. Mimo niedostatków materialnych zdołał ukończyć gimnazjum w Łomży, potem zbierał pieniądze na studia. W 1930 roku trafił na Wydział Humanistyczny Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Dzięki prof. Stanisławowi Poniatowskiemu podjął badania etnograficzne, zbierał pieśni, robił zdjęcia starych budowli, zainteresował się obrzędami, tkactwem. W 1934 roku propagował założenie muzeum etnograficznego na Podlasiu, zabiegał o dotacje władz samorządowych na podróże badawcze. W 1935 roku został wreszcie powołany na stanowisko młodszego asystenta Zakładu Etnologii Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, współpracował m.in. z Komisją Naukowych Badań Ziemi Wschodnich i Komitetem do Spraw Szlachty Zagrodowej.

Wojna przerwała ten szczęśliwy okres w życiu S. Dworakowskiego, skomplikowała mu i życie osobiste. Ostatecznie osiadł w Sokołach, tu oddał się pasji pszczelarskiej. W 1956 roku przyczynił się do odrodzenia Polskiego Związku Pszczelarskiego, dużo pisał, radził, nadal zbierał materiały do monografii etnograficznej powiatu wysokomazowieckiego. „Stanisław Dworakowski był u siebie, ale nie spełniał się jego marzenia i dążenia. Niezależnie od wszystkich sukcesów odniesionych w okresie powojennym, pobyt tu to forma porażki. Śledząc życie prywatne etnografa, można odnieść wrażenie, że było to bytowanie tymczasowe, jakby miały się zdarzyć inne, ważniejsze rzeczy, na które czekał” (J. Czajkowska). Zmarł 17 listopada 1976 roku w Warszawie i został pochowany na cmentarzu Bródnowskim.

Wierzę, że nie za długo Sokoły odzyskają status miasta, na co zasługują i z racji bogatej przeszłości.

*Autor jest prof. dr. hab.
– pracuje na Wydziale
Historyczno-Socjologicznym
Uniwersytetu w Białymstoku.*

Mięsopust, czyli cerem

Różne są zdania na temat początku karnawału. Jedni mówią, że zaraz po Bożym Narodzeniu, inni, że po Nowym Roku, a jeszcze inni, że po Trzech Królach. Na pewno trwa aż do Środy Popielcowej i stanowi wynalazek starorzemski. Słowo „karnawał” wywodzi się z hasła „carne vale”, czyli rozstanie się z mięsem. W Polsce przetłumaczono je na „mięsopust”, choć ta nazwa dotyczy jednak ostatnich dni karnawału. Jest to okres wszelakich uctw, balów maskarad, kuligów, a także swatań, zaręczyn i ożenków.

Wiek XIX to chyba szczyt karnawałowych ceremoniałów. Ożywiły się salony, rezursy, teatry i restauracje. Właśnie tam gromadzili się co znamienitsi obywatele i czekali na pierwsze takty poloneza, którym zazwyczaj rozpoczynano bale. Były bale prozonne, składkowe, panieńskie, kawalerskie, bale określonych sfer towarzyskich i grup zawodowych, a przede wszystkim bale odbywane w poszumie filantropii: a to na (jak podaje krakowski „Czas” z r. 1873) dochód stowarzyszenia wzajemnej pomocy rękodzielników i przemysłowców, na korzyść ubogiej młodzieży Instytutu Technicznego, na dochód straży ogniowej, na korzyść biblioteki uczniów wydziału lekarskiego itd. Lista korzyści była ogromna. Były to też okazje do spotkań towarzyskich, na których wysoko urodzeni mogli bawić się z innymi „światami”, gdyż w zasadzie nie było mowy, aby na balu u hrabiostwa X zjawił się bezherbowy profesor uniwersytetu czy wystąpiły jakieś, najelegantsze nawet, kupcówny.

„Bogu dzięki, że księżna przysłała i nie lęka się, że jej korona z głowy spadnie – powitał Stanisław Koźmian ks. Marcelinę Czartoryską, kiedy w r. 1880, jako jedyna z mieszkających w Krakowie arystokraterek, zaszczyliła pewien mieszczański bal. „Bo mocno siedzi” – padła odpowiedź. Trudno pokrótce opisać atmosferę tych balów, bo były to i muzyka, girlandy kwiatów, największe światła i lustra w złotych ramach, trunki w kryształach, wystawne toalety pań i fraki panów, karnećki z nazwiskami i, panujący nad tym wszystkim, powiewający wodzirej. Bo też i tancerze byli nie byle jacy: oto i pan

w kontuszu, który wypiszą dla kurażu kielicha, podkręca węża i „wierząc, że psu oczu nie sprzedał”, kłania się w pas przed znajomą sąsiadką, by prastarym „strzelam do waćpanny” – zaprosić ją do kolejnych piasów.

Jednak jeśli chodzi o polskie bale w XIX w. zapomniano już o takich tańcach jak „świeczkowy” – żeby, jeśli który dobrze nie dojrzy panny, lepiej ją widział przy świecy, czy „mieniony”, żeby „z boku obaczył tym lepiej, jak chodzi”, czy też „goniony” – żeby „widział jeśli nie kalika albo nie dychawiczna”.

W świątłach XIX-wiecznego salonu wodzirej, chcąc skusić niektórych do „złotego jarzma małżeńskiego”, zapraszał do innych tańców: mazura, kadryla, lansjera, kotyliona, polki. Polka mogła być zwykła, warszawska, mazurska albo trambłanka, inaczej „trzęsąca febra”, która gorszyła matrony. Bal kończył biały mazur. Mu-



karnawałowe oniaty

skani pierwszym świtem goście siadali do karet... Tak było w XIX wieku.

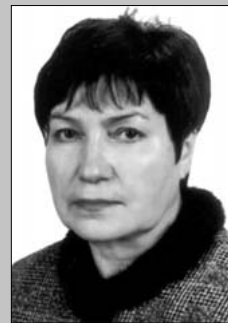
Wypada wspomnieć też o czasach wcześniejszych. Jeśli chodzi o salony to długo panowały tam dostojne menuety, gawoty, pawany i sarabandy. W zasadzie tańce należało podzielić na tańce chłopskie, mieszczańskie i dworskie. Wśród chłopów w XVII wieku popularny był maciej, wyrwaniec, lipka i swojski. Najśłynniejszym i najpopularniejszym tańcem staropolskim wszystkich warstw społecznych był polonez. Istniało kilka jego odmian: arystokratyczny-polski, szlachecki-wielki, pieszy oraz ludowy-chodzony, polski, wolny. Tańczono go czasami i dwie godziny, przerywając tylko dla spełnienia toastu lub dla przyśpiewek. Po poważnym polonezie grano tańce skoczne, jak choćby krakowiak lub goniony.

W XVIII wieku narodowym tańcem polskim stał się skoczny mazur. Tańczono



go zarówno po wiejskich karczmach, jak i na królewskich salach balowych. Inflanctczyk Schulz tak wypowiadał się o naszych tańcach: „Taniec, dusza polskich zabaw, nigdzie może w świecie z większym wdziękiem, lekkością, z większą namiętnością i przejęciem nie był wykonywanym”.

Szczególnie piękne są dwa narodowe tańce: polski i mazur, oba od siebie charakterem różne, ale mogące być do najwyższej doskonałości sztuką i wdziękiem postaci doprowadzone. W dawnej Polsce modne też były tańce kozackie, cygańskie i wojskowe – tańczone parami i solo. Jednak tańcem, który zrobił ogromną karierę na całym świecie jest walc. Wieść niesie, że pierwszym walcem jest zapisana w drugiej połowie XVII wieku piosenka, której polskie słowa brzmią: „O, ty miły Augustynie”. Jednak twórcą formy walca wiedeńskiego w XIX wieku był Józef Lanner. To jego utwór „Romantycy” my, Polacy, śpiewamy ze słowami „W Saskim Ogrodzie koło fontanny”... Nazwa walc pochodzi od niemieckiego „walzen” czyli kręcić, toczyć, obracać. Na początku walc nie był dobrze przyjęty. Otóż na przełomie wieków XVIII i XIX pewien teolog obwieścił, że „walc tworzy koło, w którego środku tkwi diabeł”. Zaciekłym wrogiem walca była też arystokracja, bo przecież pochodził on od tańca alpejskich górali, zwanego laendlerem. Dzięki „dynastii” Straussów walc stał się popularnym, „demokratycznym” tańcem. Tańczyli go wszyscy, choć był zabroniony na dworze carycy Katarzyny i w pałacu pruskim. Mimo to szybko się rozpowszechnił. Nawet, pod wpływem odmiennych temperamentów i gustów, przybrał różny charakter. Różni się od siebie walc francuski i rosyjski. Jerzy Waldorff twierdził, że te dwa tańce „to dwa światy tak mało podobne jak Alpy i nadwołżańskie stopy”. Inna jest instrumentacja. O ile dla żwawego walca francuskiego charakterystyczne są akordeony, o tyle melancholijny rosyjski ma najbardziej charakterystyczne brzmienie, gdy wykonywany jest przez orkiestrę dętą. Na początku XX wieku dużą popularność zdobył walc angielski, zwany też bostonem. Prawdopodobnie miało to związek z modą damską. Strój był tak



Anna Klonowska
(z domu Żebrowska)

Absolwentka Wydziału Lekarskiego AMB z roku 1972 – specjalista dermatolog

Interesuje się historią medycyny, kulturą, problematyką Kresów Wschodnich. Należy do klubu literackiego „IRIS” w Kielcach. Jej eseje, wspomnienia i opowiadania drukują: *Eskulap Świętokrzyski* (miesięcznik ŚIL) oraz ogólnopolski miesięcznik społeczno-kulturalno-literacki „Radoszowa”. W 2004 roku w ogólnopolskim konkursie im. Leopolda Staffa otrzymała wyróżnienie, a w roku 2005 II nagrodę MON za opowiadanie „Tym, które zawsze czekały”. Wyróżnione wspomnienia znalazły się w almanachu „Ptakom niebieskim”

skomponowany, że w żaden sposób nie można go było tańczyć szybko. Ogromną karierę zrobiły tańce w muzyce klasycznej. Wymienię tylko słynne polonezy Chopina, Ogińskiego. Także kompozytorzy oper i baletów wykorzystywali formę poloneza w swoich utworach: Bellini, Rossini, Weber, Kamiński, Stefani, Moniuszko, czy Czajkowski.

Nie powinniśmy też zapomnieć o naszych pięknych kolędach w rytmie poloneza: „W źłobie leży” i „Bóg się rodzi”.

Nasz drugi narodowy taniec – mazur – też zrobił ogromną karierę w muzyce klasycznej, choćby w operach Moniuszki, a także w balecie Delibes’a, czy w operze Czajkowskiego. Pamiętajmy też o wspaniałych i bogatych melodycznie mazurkach Chopina.

Wprawdzie dziś już inaczej wyglądają bale, może nie tak dostojnie i z inną oprawą muzyczną, to jednak czas karnawału trwa – zatem – bawmy się.

Anna Klonowska

**AKTUALNOŚCI,
WYDARZENIA,
NOMINACJE, LISTY**



Informujemy

Profesor Antoni Gabryelewicz został członkiem Centralnej Komisji ds. Tytułu Naukowego Stopni Naukowych. Gratulujemy



Z Senatu

Na posiedzeniu 16 stycznia 2007 r. Senat podjął uchwały w sprawach:

- utworzenia Katedry Kardiologii na Wydziale Lekarskim AMB;
- utworzenia Kliniki Rehabilitacji Dziecięcej na Wydziale Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia AMB;
- przeniesienia Studium Medycyny Katastrof na Wydziale Lekarskim AMB;
- zatwierdzenia zmian w regulaminie studiów stacjonarnych i nie-stacjonarnych;
- powołania Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej Wydziału Farmaceutycznego oraz Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia;
- wyboru podmiotu do badania sprawozdania finansowego AMB wraz z Apteką uczelnianą za 2006 rok;
- zatwierdzenia zasad okresowej oceny nauczycieli akademickich (profesorów, doktorów habilitowanych) za lata 2003-2006;
- powołania przedstawiciela studentów do składu Komisji Dyscyplinarnej ds. Nauczycieli Akademickich.

Ponadto Senatorowie:

- Pozytywnie zaopiniowali wniosek o mianowanie prof. dr hab. Mileny Dąbrowskiej na stanowisko profesora zwyczajnego w Zakładzie Diagnostyki Hematologicznej AMB.
- Wyrazili zgodę na przystąpienie do projektu pn. „Mapping Professional Home Care In Europe (EURHOMAP)” w ramach działań Wspólnoty Europejskiej w dziedzinie zdrowia publicznego (2003-2008).

Krystyna Dyszkiewicz
Kierownik Rektoratu

Przeczytane



Ciekawych rzeczy można się dowiedzieć, kiedy czyta się z należytą uwagą ulotki dołączone do leków. Okazuje się bowiem, że po zażyciu pewnych, dopuszczonych do sprzedaży przez Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, kropli do oczu mogą wystąpić zastanawiające objawy uboczne: bradykardia, arytmia, hipotensja, omdlenie, blok serca, niedokrwienie mózgu, niewydolność krążenia prawokomorowa, uczucie kołatania, a nawet zatrzymanie akcji serca, skurcz oskrzeli... Ale poza tym lek ten jest w zasadzie bezpieczny. Jak wyjaśnia konsultant województwa podlaskiego w dziedzinie farmacji, Jana Telejko: „Jeden umrze, drugi nie. Po Paracetamolu też można nie przeżyć”

Dociekliwi dziennikarze próbowali dowiedzieć się od producenta leku, po co umieszcza na ulotce informacje, które straszą pacjentów? Odpowiedź była następująca: „Podajemy takie informacje właśnie po to, aby pacjent poczuł się bezpiecznie. Musi wiedzieć, że wymienione objawy są możliwe i w przypadku ich wystąpienia powinien jak najszybciej zgłosić się do lekarza”

Dociekliwi dziennikarze próbowali dowiedzieć się od producenta leku, po co umieszcza na ulotce informacje, które straszą pacjentów? Odpowiedź była następująca: „Podajemy takie informacje właśnie po to, aby pacjent poczuł się bezpiecznie. Musi wiedzieć, że wymienione objawy są możliwe i w przypadku ich wystąpienia powinien jak najszybciej zgłosić się do lekarza”

Plusem całej sprawy jest szum medialny, jaki towarzyszył odkryciu treści ulotki. Dzięki niemu pacjenci dowiedzieli się, że w przypadku niedokrwienia mózgu lub zatrzymania akcji serca powinni zgłosić się do lekarza. Nie powinni się przy tym bać ani dziwić, bo są to objawy zażycia kropli do oczu.



Po wycofaniu Corhydronu z obrotu w Polsce, do kraju sprowadzony został w trybie pilnym czeski zamiennik tego leku. Jak się szybko okazało, jedna z serii tego preparatu może również być wadliwa, stwierdzono bowiem w niej obecność zanieczyszczeń mechanicznych. Serię oczywiście wycofano z obrotu. Zapasy tego specyfiku w białostockich szpitalach wystarczyć mogą na miesiąc.

W tym czasie trzeba sprowadzić lek z innego kraju. Skoro myśl farmaceutyczna Europy Środkowo – Wschodniej zawodzi, można sięgnąć po osiągnięcia krajów z innego kręgu kulturowego. Np. Kazachstanu – jak dowiedzieliśmy się z filmu „Borat” mieszka tam lud prosty i szczerzy, niezdolny mentalnie do podmieniafia fiolek w fabryce.



Radni stanęli na wysokości zadania i przewidzieli w budżecie 2 miliony złotych na renowację ogrodu i otoczenia pałacu Branickich. Odnowione zostaną cztery fontanny w salonie ogrodowym, zbudowana zostanie też przepompownia wody. Prace te mają ruszyć na wiosnę i zakończyć się jesienią. Potem przyjdzie kolej na zieleń. Ostatecznie prace zakończą się w 2013 roku i zamkną się w kwocie 20 mln złotych. Pieniądzy tych na razie nie ma, ale odkąd jesteśmy w Unii wszyscy są dziwnie pewni, że „Unia da pieniądze”.

A jak nie da? Zostawimy tak, jak jest. Pieniądże na taki cel powinny się znaleźć. Tu musimy wykazać się myśleniem pozytywnym.



Pod koniec roku na ogół narzekaliśmy na kończące się w szpitalach pieniądze wstrzymanie zabiegów oraz operacji. W tym roku NFZ wspomógł, podlaską służbę zdrowia niebagatelną kwotą 8 mln złotych. Jak wyjaśnił Jan Mikucki, rzecznik prasowy podlaskiego NFZ: „Mamy wyjątkowo dobrą ściągalność składek”, w związku z czym „należą się nam pieniądze z centrali”.

Logiczne byłoby zadanie pytania: dlaczego, skoro mamy „dobrą ściągalność składek”, pieniądze kończą się na długo przed końcem roku, a potem muszą wracać do nas z „centrali”. Ale lepiej się chyba nie czepiać i cieszyć się z pieniędzy, których mogło przecież nie być. Zresztą już od czasów agenta J-23 wiadomo, że z „centralą” się nie dyskutuje. To niezdrowe.

Aha

Sprostowanie

Agencja Konsultingowo – Edukacyjną Ordo, informuje, że w ogłoszeniach zamieszczonych dotychczas w „Medyku Białostockim”, dotyczących organizowanych szkoleń: „Studium marketingu i zarządzania jakością w jednostkach ochrony zdrowia”, „Studium budżetowania i controllingu w jednostkach ochrony zdrowia”, „Studium zarządzania i oceny technologii medycznych” oraz „Zarządzanie i finanse w ochronie zdrowia” pojawił się następujący błąd: „Szkolenie w 100% dofinansowane z Europejskiego Funduszu Społecznego”. Prawidłowy tekst brzmi „Szkolenie w 100% dofinansowane ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego oraz budżetu państwa”. Za pomyłkę przepraszamy.

Magdalena Grzegorzczuk



Młody Medyk



Po upalnej zimie i specyficznych doznaniach akustycznych, jakie towarzyszyły niedawnemu huraganowi, podobno ma nas teraz zawiąć śnieg. W sumie to nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, lecz gdy przypomnę sobie, jak jeszcze w szkole podstawowej próbowano nauczyć mnie czegoś o el niño i efekcie cieplarnianym – wówczas uważałem, że to mroczne knowania mądrych głów... dziś te knowania stały się niezaprzeczalnym faktem. Skoro zatem zima zdecydowała się na krótką, acz treściwą, wizytę w naszych skromnych progach, nie wypada zapomnieć o *Medyku*.

W noworocznym numerze przybliżyliśmy Wam SAFF – organizację, z którą współpracujemy już od dawna i która kryje wiele interesujących tajemnic we własnej ciemni. Polecam tam wstąpić!

Od bardzo dawna zarzucano nam, że nie prowadzimy żadnego działu sportowego. Otóż mogę oświadczyć, że ten numer zawiera już taki dział. Ku chwale ASZ pisze Marta Marcinkiewicz.

Smakowitym kąskiem dla znawców muzyki Farben Lehre jest wywiad z Wojtkiem Wojdą – rozmowę poprowadził Konrad Wilczyński z SCR „Radiosupeł”.

Nie możecie również zapomnieć o artykułach anglojęzycznych – w tym numerze m.in. historia spinacza do papieru – bardzo oryginalny tekst.

Nie zanudzam już.

Paweł Szambora

W TYM NUMERZE CZYTAJ:

Zimne ognie i szwedzkie stoły, czyli *Zabawa na 4 fajery*
str. 34

Tajemnice ciemni
str. 39

Wśród skorpionów i grzechotników
str. 40

Farben Lehre w SCR – wywiad z Wojtkiem Wojdą
str. 42

Skład redakcji „Młodego Medyka”

Paweł Szambora i Maria Stepaniuk oraz Dorota Czyżewska, Urszula Dworzanczyk, Dariusz Jakoniuk, Mark Klukowski, Natalia Lemiesz, Marta Marcinkiewicz, Alicja Smalec, Anna Zalewska, Ewelina Zaremba.

Siedziba redakcji studenckiej:

Pałac Branickich – lewe skrzydło, pok. 112, ul. Kilińskiego 1, 15-089 Białystok 8, tel. 748-55-06

Piotrek natomiast dodaje: – Najważniejsze, że nikomu nie włączył się agresor podczas zabawy. Tego akurat najbardziej się obawialiśmy, dlatego nie wpuszczaliśmy ludzi z ulicy. Baliśmy się ryzyka.

Podczas przygotowań napotkałem na kilka poważnych problemów technicznych, np. zapomniałem swoich CDs, na godzinę przed rozpoczęciem i w trakcie imprezy zepsuł się komputer – na szczęście sztuka improwizacji nie jest mi obca. Upokorzeniem byłoby dla mnie, gdyby czegoś zabrakło na stole, więc wielokrotnie dowoziłem artykuły spożywcze. W tym roku były stoły szwedzkie, a sale przystrojone według naszego pomysłu – jedna w kolorach regge (czerwony, żółty, zielony) w stylu hawajskim z girlandami w kształcie palm, druga to gwiazdne niebo nocą, z kulą lustrzaną – imitacją księżycy.

Sami bawiliśmy się raczej kiepsko, za dużo mieliśmy na głowie. Byłem DJ-em i cały ten wieczór zajmowałem się sprzętem w małym pomieszczeniu DS2. Lubię to zajęcie, wcześniej didżejowałem, więc nie było problemów z dobraniem świetnych kawalków. Choć ciężko jest zaspokoić gusta wszystkich. Najintensywniejsza zabawa, przy największych hitach, trwała między dwudziestą drugą a drugą w nocy. Uśmiech na twarzach wszystkich zaproszonych był największą nagrodą.

I jeszcze jedno. Dziękujemy Andrzejowi Moniuszce, który poświęcił dużo swojego czasu, aby było wyjątkowo. Dzięki jego komunikatywności informacja o sylwestrze dotarła do wszystkich naszych rówieśników. Za cenne rady w kwestiach organizacyjnych

dziękujemy też Tomkowi Bednarczykowi i Łukaszowi Zalewskiemu.

Prawie nie robi wielkiej różnicy

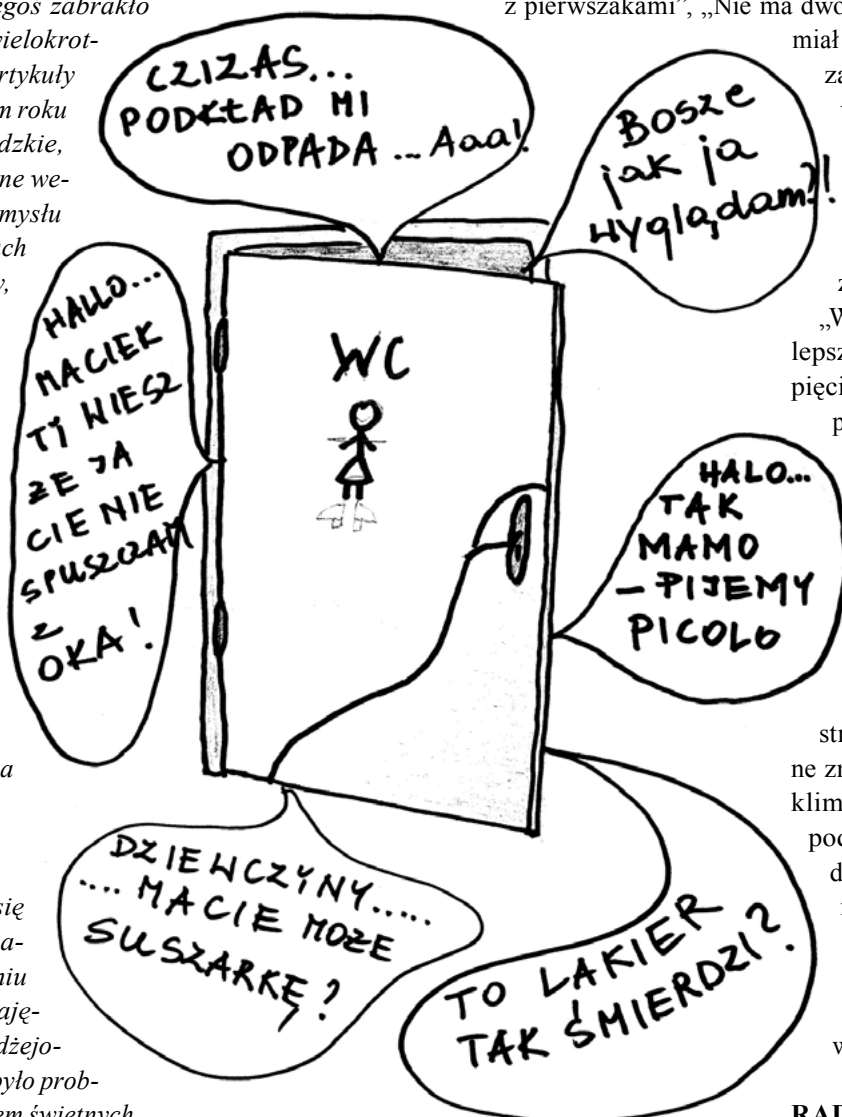
Opinie o sylwestrze 2006:

PLUSY: „Niezapomniany sylwester, rewelacja!”, „Świetna atmosfera i super sprzęt”, „Fajnie, fajnie, bardzo fajnie. Integracja stuprocentowa”, „To był znakomity czas na integrację z nieznanymi osobami, szczególnie z pierwszakami”, „Nie ma dwóch zdań – gdyby

miał być taki sylwester za rok albo dwa, w ciemno bym wziął w nim udział!”, „Bardzo udany. Generalnie spokój, żadnych burd”, „Według mnie najlepsze impreza od pięciu lat. Mogę ją porównać z imprezami na innych uczelniach np. w lubelskich akademikach na ponad 1000 osób. Tam 100 zł dawało się przed sylwestrem za ewentualne zniszczenia. U nas klimat mi się bardzo podobał.”, „Była to dobra impreza, bo mogły do nas dołączyć inne osoby na wcześniejsze zaproszenie, nawet po północy”.

RADY: „Dziewczyny były za bardzo ubrane”, „Zły nie był, ale oczekiwałem czegoś więcej. Brak informacji jeśli chodzi o część organizacyjną. Nic nie powiedziano osobom, które miały przyjść. Był ścisk na małej sali balowej, a w większej było jedzenie. To tam mieliśmy się bawić. Ale ogólnie impreza była udana. Wszyscy świetnie się bawili”, „Wpuszczanie ludzi trochę wyglądało jak zoo — listy, legitymowania... troszeczkę rygor można było zmniejszyć.”

Alicja Smalec



O CUKRZYCY po ludzku



Co roku białostocki oddział „Towarzystwa Przyjaciół Dzieci” organizuje kolonie dla swych podopiecznych. Od kilku lat na wypoczynek do Woźnej Wsi wyjeżdżają dzieci chore na cukrzycę i leczone insuliną. Przez dwa tygodnie, pod okiem pomysłodawczyni – dr n. med. Bożeny Florys – oraz pielęgniarki, dietetyczki i wychowawcy grupy, koloniści bawią się, pływają, śpiewają i tańczą. Oddają się letniemu szaleństwu bez strachu, a jednocześnie podlegają najskuteczniejszej na świecie terapii. Koloniści uczą się żyć z cukrzycą i radzić sobie z chorobą w różnych sytuacjach dnia codziennego. Wszystko to dzieje się w radosnej i bez troskłej atmosferze, pod okiem specjalistów, którzy wyłapują i szybko korygują błędy swych małych podopiecznych.

W trakcie minionych wakacji my, dwie studentki, które właśnie ukończyły piąty rok wydziału lekarskiego, miałyśmy przyjemność uczestniczenia w tych koloniach.

Telefon

Zaczęły się dopiero wakacje, dopiero co zdałam egzaminy, na działce szukam hamaka a tu niespodzianka – dzwoni telefon: Karolina pyta czy chcę, w zamian za obowiązkowe praktyki wakacyjne, jechać na kolonie? Też pytanie! Jasne, że tak.

Już w Białymstoku okazało się, że studenci prawie się bili o dwa miejsca, które dawały możliwość wyjazdu z dziećmi na kolonie. Nam się udało. Dzięki Karol! Cały czas towarzyszył nam jednak niepokój – czy sobie poradzimy? Naszym zadaniem miała być troska o grupę dwadzieściora dzieci, w wieku od siedmiu do piętnastu lat, chorych na cukrzycę.

Największą uwagę skupiałyśmy na pomiarach glikemii przed posiłkami – sześć razy w ciągu dnia. Niektórzy nasi podopieczni wymagali dodatkowych klóć o czwartej w nocy (!) i, w razie potrzeby, w ciągu dnia. To w sumie niewiele, tylko skąd wiedzieć, kiedy jest ta potrzeba? To trzeba wyważyć. Oczywiście miałyśmy dookoła głowy, gdy dzieci były w wodzie, na boisku, czy gdy się bawiły.

Dyżury nocne, pełnione co czwartą dobę, dało się pokonać bez dużego bólu. Poobiednia sjesta rekom-

pensowała niedospanie. Pani doktor i pani pielęgniarka wprowadzały nas w tajniki dawkowania różnych rodzajów insulin. Dawki insulin trzeba było dostosowywać indywidualnie do potrzeb każdego dziecka. Razem cieszyłyśmy się z sukcesów – malejących z dnia na dzień dawek leczniczego hormonu.

Makijaż i piłka nożna

Codziennie z Olą, opiekunką grupy, brałyśmy udział we wszystkich zajęciach z dziećmi. Dzieci szybko nas polubiły i chętnie wciągały nas do zabawy. Ujawniły

się fryzjerskie talenty Karoliny. Wygraliśmy konkurs na najbardziej fantastyczną fryzurę i makijaż. Ja pilnie kibicowałam naszym chłopcom w turnieju piłki nożnej i choć Włosi przegrali Mundial, to „Dropsiki” (nazwa jednego z zespołów kolonijnych piłki nożnej) wygrały z obozem. Wieczorne dyskoteki z dedykacjami na długo pozostaną nam w pamięci.

Jak pamiętacie, lato nie oszczędziło słońca. Bez jeziora pewnie byśmy się wszyscy usmażyli. Ośrodek zapewnił dostęp do uroczej mazurskiej plaży. Oprócz wspólnych, dzikich zabaw w wodzie, raczyłyśmy się jej chłodem, ścigając się, która

dopłynęła do środka jeziora ☺. Tylko dr Florys się udało.

Nie dziecińnialiśmy do końca ;).

Wieczorem, kiedy nasi podopieczni smacznie spali, cała kadra zbierała się w pewnym tajemnym miejscu, którego nie mogę zdradzić ze względów oczywistych, i oddawaliśmy się tradycyjnym mazurskim obrządkom. Niby panowie wolą blondynki, a jednak nas stopy bolały od tańca, a gardła od śpiewu.

Kolonijne znajomości wciąż trwają. Wspomnienia są bezcenne, a zdobyta wiedza nieoceniona. Każdemu, kto umie połączyć przyjemność i obowiązki, polecamy taki wyjazd.

Uprzejmie dziękujemy za możliwość uczestniczenia w owych koloniach. Zachęcamy studentów, ale również pielęgniarki i lekarzy, do udziału w wyjazdach w następnych latach.

Kinga i Karolina



JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY...



List do Boga

Przed przeczytaniem artykułu proszę o spokojny, głęboki oddech. Mówi się, że ginie sztuka pisania listów. Może warto zatrzymać ten proces, nawet jeśli listonosze czasem strajkują, a adresat... nie jest do końca znany?

Szanowny Panie Boże

Dziękuję, że przywróciłeś mi najszczęśliwsze brzmienie Swego imienia. Od dawna nie pamiętałam, jak się do Ciebie zwracać. Podobno Twoje prawdziwe imię jest tajemnicą. Podobno jesteś wszędzie, ale trudno sobie wyobrazić, byś wypełniał cały ten świat. Dobrze wiesz, że jest to przestrzeń pełna krzyku i podłości. Aż chciałoby się schować pod kołdrę, kiedy fale najświeższych wiadomości z gazet, telewizji, internetu nieustannie i nietaktownie wlewają się do uszu. Jak Cię tu, Boże, odnaleźć?

Na szczęście, zostawiasz wskazówki. Jedni szukają ich w chłodnych murach katedr, inni – w ciszy przydrożnych kapliczek. Mnie do poszukiwań i do napisania tego listu skłoniła książka „Oskar i Pani Róża” Erica-Emmanuela Schmitta. Kiedy sięgałam po tę lekturę, byłam przekonana, że opowieść o chłopcu umierającym na białaczkę, to opowieść o cierpieniu. Jednak okazało się, że przemijanie można pokazać jako element życia. Czy da się oswoić śmierć? Nie, ale można oswoić się z myślą o niej, nie traktować jej jako kary ani przywileju, lecz traktować ją jako początek narodzin. To tak jak ze światłem dnia, które musi zgasnąć, by odrodzić się na nowo.

Akceptacja śmierci jest punktem wyjścia do czerpania satysfakcji z życia.

Oskar, dziesięcioletek, u którego leczenie nie przyniosło oczekiwanych efektów, odkrywa to dzięki wsparciu wolontariuszki (a może Anioła Śmierci?), którą nazywa cicią Różą. Jest to jedyna osoba w otoczeniu chłopca, która nie ucieka od tematu umierania. Uświadamia Oskarowi, że musi on uważnie słuchać swojego serca i wytrwale dążyć do celu. Pani Róża proponuje małemu przyjacielowi zabawę w traktowanie każdego dnia jak dziesięciu lat. Sto trzydzieści lat – to chyba wystarczający czas, by nacieszyć się życiem, prawda?

Oskar traktuje swoje zadanie poważnie. Koncentruje siły na zdobyciu i utrzymaniu miłości pewnej niezwykłej dziewczynki. Pomimo bolesnych potknięć i błędów, chłopiec nie poddaje się w walce o swe szczęście. Wzorem determinacji i czystej radości istnienia jest dla niego niepozorna roślina z Sahary, która rozwija się, kwitnie, wydaje owoc i ginie w ciągu jednego dnia. Najlepszym przyjacielem zaś staje się mądra i szczerą pani Róża.

Tymczasem rodzice jawią się Oskarowi jako obłudnicy i tchórze. Nie umieją oni pogodzić się z nieuchronnym, co buduje między nimi a synem barierę niezrozumienia. Oskar skarży się, że jest samotny i nieudolnie przekupywany kolejnymi nużącymi prezentami. O sprawach ważnych rozmawia więc z panią Różą, a także, opisując w listach przebiegające coraz szybciej dni i lata, z... Tobą – Bogiem. Mając oparcie w tak niezwykłym sojuszniku, jakim jest sam Wszchemocny, Oskar z każdym oddechem chwyta łańcuchywie życie. Wie, że nie może tracić czasu na głupstwa. Jego przyspieszone dojrzewanie wyciska piętno na innych. Oskar uwalnia rodziców od paraliżującego lęku oraz przypomina lekarzowi, że budowany ludzkimi rękami szpital nie może być zawsze miejscem wyleczenia...

„Oskar i Pani Róża” porusza najtrudniejsze i przez to najciekawsze problemy. Przypowieść tę każdy czytelnik rozszyfruje nieco inaczej, odnosząc się do osobistych doświadczeń i pragnień. Książka Schmitta pokazuje, że nikt nie jest idealny. Nawet Ty, Panie Boże. Każdy jednak posiada narzędzia, by stać się lepszym. Historia o Oskarze przypomina, że nosimy w sercu mapę z siecią szerokich traktów, ale też i poplątanych ścieżek – losów. Czasem zdarza się potrafić kogoś na naszym szlaku, czasem zbyt wielu wędrowców mijamy z obojętnością lub nawet pogardą.

Wszyscy jednak dążymy nieuchronnie w tym samym kierunku.

Czasami wydaje się, że najbezpieczniej jest nie wykonywać żadnych ruchów. Zwątpienie zmienia pewny grunt pod stopami w grzęzawisko. Droga kończy się w bagnie...

Jak nie zbłądzić? „Dla życia nie ma innego rozwiązania niż żyć” – mówi, ustami Oskara, Schmitt. Więcej ufności i odwagi w podróży! A także – więcej pokory dla Tej, która „zajdzie starszym z przodu / a młodszym od tyłu”¹ – jak pisał Mistrz wiary naiwnej, tej, której tak często nam brakuje.

Szanowny Panie Boże! Dziękuję za drogowskaz w moim własnym poszukiwaniu Ciebie.

Z wyrazami szacunku,
Dorota Czyżewska

¹ ks. Jan Twardowski, „Co potem”



JACY JESTEŚMY... JACY JESTEŚMY...

SAFF – KOMPENDIUM



Zapewne wielu z was, zastanawia się, co oznaczają te cztery tajemnicze litery. Oto rozwiązanie: Studencka Agencja Fotograficzno-Filmowa. Tak, na naszej uczelni funkcjonuje organizacja, która, będąc na marginesie zainteresowania, nie pozostaje jednak biernym konsumentem finansów publicznych. SAFF jest specyficzną organizacją studencką. Każda organizacja na naszej uczelni jest siłą rzeczy niszowa, bo studenci, jeśli nie spędzają każdego wieczoru nad książką, to najczęściej dlatego, że właśnie imprezują.



W plener

W SAFF-ie borykamy się jednak nie tylko z problemami natury ogólnej. Otóż do SAFF-u garną się najczęściej indywidualiści, którzy niekoniecznie mają ochotę na jakieś działania grupowe. Ba! Niektórzy saffowicze do dziś nie przyszli na żadne zebranie... Organizujemy na przykład plenery, ale jak zdecydować, gdzie mamy się wybrać, skoro Jacek lubi fotografować dziewczęta, Sawka architekturę, Diabeł życie miejskie, ja wieś, Anka przyrodę, a cała reszta i tak woli zdjęcia we wnętrzach niż w plenerze?

Radzimy sobie

Radzimy sobie jak możemy, głównie koncentrując się na tym, co najbardziej lubimy. Dla każdego jest to zresztą co innego. Cały czas jesteśmy w kontakcie, tworzą się mniejsze grupki zainteresowań i możemy w ten sposób połączyć nasze własne potrzeby z korzyścią dla SAFF-u i uczelni. Uczestniczymy jak możemy w życiu akademii, często fotografując oficjalne uroczystości. Współpracujemy z innymi klubami. To dzięki staraniom SAFF-u CoNieCo-we Schodki już któryś raz z rzędu można było oglądać nie tylko w osławionej, choć ciasnej Piwniczce, ale także na holu akademika. Mamy na holu DSI stałą ekspozycję, nasze nowe zdjęcia wystawiamy w gablocie. W tym roku przygotowaliśmy multimedialny przewodnik dla studentów pierwszego roku stomatologii, tym projektem chcemy objąć też inne kierunki. Szczególnie

cieszymy się z kalendarzy z naszymi zdjęciami, które zostały wykorzystane w ogólnouczelnianej mikołajowej akcji na rzecz dzieci z domu dziecka. Kiedy już jednak zmęczy nas ta cała zewnętrzna aktywność, uciekamy do swojej zacisznej ciemni.

Ciemnia

Siedziba SAFF-u jest zarazem naszą ciemnią, ale okazuje się, że niektórzy lepiej wiedzą, co się robi w ciemni. Krążące plotki o tym, że podczas zebrań bawimy się w wyłączanie światła i urządzamy konkursy w rodzaju „czyja to była ręka?” mogłabym zdementować, ale nie chcę psuć nam opinii, na którą tak długo pracowaliśmy. Rzeczywiście, czerwona lampeczka (której czasem wolimy nie zapalać), gruba, miękko opadająca na drzwi kotara i zapach różnych niebezpiecznych substancji chemicznych tworzą wyjątkową atmosferę, która przyciąga jak magnes.

Prawdę mówiąc, niektórzy z nas w ciemni wywołują też filmy i zdjęcia, mamy bowiem cały potrzebny do tego sprzęt. Szkoda, że jest to dziedzina idąca w zapomnienie, bo większość pstryka aparatami cyfrowymi. Trzeba jednak powiedzieć, że zwolennicy prawdziwej sztuki robienia zdjęć – od założenia filmu do aparatu aż po wysuszenie gotowej odbitki – też są wśród nas i lubią sobie czasem poeksperymentować. Sawka, jeden z eksperymentatorów, mówi:

– SAFF umożliwił mi, posiadaczowi aparatu analogowego, nareszcie stały dostęp do ciemni bez konieczności rozkładania i składania powiększalnika w zaadaptowanych pomieszczeniach codziennego użytku. Osoby, których nie stać na zakup odczynników, papieru fotograficznego czy filmu mogą korzystać z tych SAFF-owych. Posiadacze cyfrowych aparatów również czerpią wiele profitów z przynależności do SAFF-u. Rady techniczne kolegów oraz akcje tematyczne zmuszają do włączenia w procesie tworzenia zdjęcia, oprócz przycisku „on”, również szarych komórek.

Prolog

Na nasze zebrania (w każdą niedzielę, o godzinie 18.00 w siedzibie SAFF-u w DSI), zapraszam wszystkich – nie tylko fotografujących, ale też tych, którzy chcą być fotografowani. Jeśli potrzebujesz kilku ładnych zdjęć, choćby po to, by mieć prezent dla swojego chłopaka, odwiedź nas. Dla nieśmiałych oraz indywidualistów polecam osobisty kontakt z Jeudosią:

tel 509 62 52 64
GG 4255709
jeudosia@wp.pl
saff_amb@tlen.pl

Jeudosia

ŻYCIE Z PIEPRZEM... ŻYCIE Z PIEPRZEM... ŻYCIE Z PIEPRZEM...



Wśród skorpionów i grzechotników

ŻYCIE Z PIEPRZEM... ŻYCIE Z PIEPRZEM...

Wyjazd do USA, w ramach studenckich praktyk organizowanych przez IPSF we współpracy z Młodą Farmacją, od kilku lat był naszym marzeniem. W tym roku spełniło się! Pojechaliśmy we dwoje: Beata Karpiuk i Darek Rożkiewicz.

Polska pożegnała nas chłodną i deszczową pogodą. Z Warszawy wylecieliśmy 6 sierpnia 2006 roku. Lot trwał około osiemnastu godzin. Najpierw poleciliśmy do Amsterdamu, następnie do Chicago i stamtąd do Phoenix. Arizona – stan kaktusów, skorpionów i grzechotników – przyjęła nas wręcz pustynnym żarem.

Trudno było przyzwyczać się do temperatur sięgających 45°C w cieniu i do różnicy w czasie (w stosunku do Polski – 9 godzin). Jednak już po kilku dniach rozpoczęliśmy praktyki, które odbywaliśmy w University of Arizona Medical Center w Tucson. Oprócz nas, w wymianach uczestniczyła studentka ze Szwajcarii, a całą grupą opiekowała się liczna rzesza miejscowych studentów i dr Michael Katz – wykładowca na UMC, specjalista z dziedziny farmakoterapii. Każde z nas miało również indywidualnego opiekuna – studenta ostatniego roku farmacji, który oprowadzał nas po terenie kampusu i opowiadał o studiach farmaceutycznych w USA.

Ważny farmaceuta

Praktyki na Uniwersytecie stanowym Arizony rozpoczynałyśmy codziennie około 7.30 obchodem lekarskim. Razem z jednym studentem farmacji i zespołem lekarzy odwiedzaliśmy pacjentów na różnych oddziałach szpitala. Zadaniem farmaceuty klinicznego podczas tych obchodów było monitorowanie dawek, sprawdzenie ich interakcji z innymi lekami oraz we-

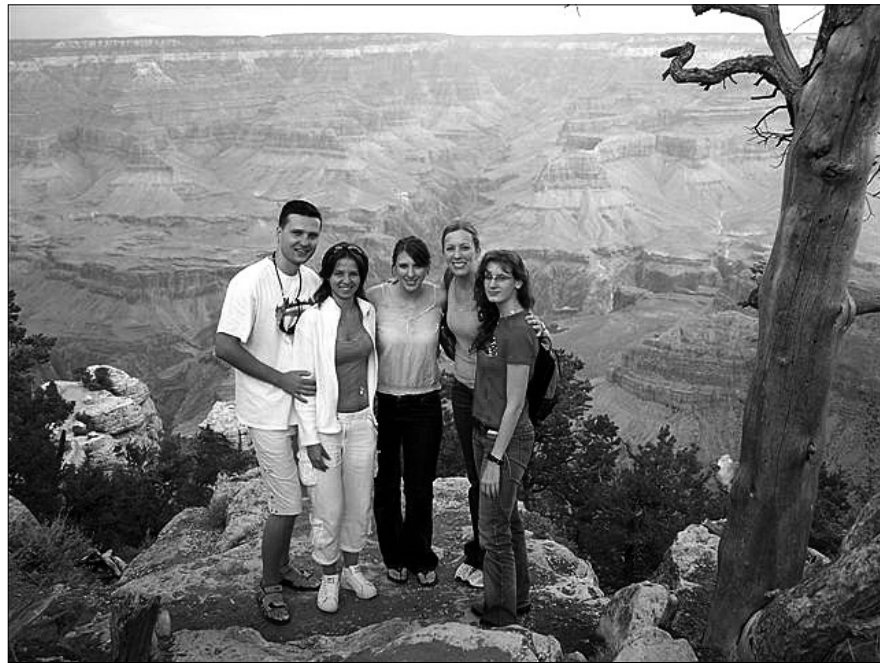
ryfikacja wskazań do zastosowania określonych leków. Zauważyliśmy, że lekarze bardzo liczą się ze zdaniem farmaceuty i często konsultują z nim swoje wątpliwości. O godz. 9.30 braliśmy udział w tzw. Morning Report, podczas którego lekarze i farmaceuci omawiali szczególnie problematyczne przypadki zachorowań. Później spędzaliśmy czas przed monitorami centralnego systemu komputerowego lub w dyżurkach lekarskich, wyszukując dane kliniczne pacjentów, których poznaliśmy w trakcie obchodu. W środy uczestniczyliśmy również w specjalistycznych wykładach dla lekarzy i stażystów z farmacji i wydziału lekarskiego. Każdego dnia około godziny 12.00 spotykaliśmy się z dr. Katzem i opiekującymi się nami studentami. Wspólnie omawialiśmy przypadki chorych, widzianych podczas porannych obchodów. Doktor Katz w interesujący sposób omawiał przykłady interakcji między lekami, a także kluczowe aspekty farmakoterapii poszczególnych schorzeń i specyficzne dla tego regionu jednostki chorobowe.

Inaczej niż u nas

Rok akademicki, który zaczął się 21 sierpnia, rozpoczęliśmy od wysłuchania wraz z innymi studentami farmacji kilku wykładów m.in. z farmakoterapii i farmakologii. Wykłady były klarowne. Szczególnie spodobało się nam udostępnianie studentom wydrukowanych materiałów i możliwość zadawania pytań profesorowi w trakcie wykładu. Byliśmy również zaskoczeni, że studenci farmacji uczestniczą w ćwiczeniach laboratoryjnych tylko podczas pierwszego roku studiów, a przez kolejne lata chodzą jedynie na wykłady i zajęcia seminaryjne. Podczas seminariów z farmakoterapii



Praktyka w aptece szpitalnej.



Wyprawa do Wielkiego Kanionu – od lewej: Darek i Beata (Polska), Sarah i Megane (USA) i Severine (Szwajcaria).

otrzymywaliśmy tzw. case'y, czyli historię choroby pacjenta wraz z wynikami badań laboratoryjnych. Zadaniem studenta farmacji jest dobór odpowiednich leków i ich dawek. Szczególny nacisk kładzie się na nauczanie studentów farmakologii i farmakoterapii monitorowania postępów terapii, analizy wyników badań laboratoryjnych.

Tacos i buritto

Ale wymiana studencka to przecież nie tylko nauka. Studenci IPSF-u nie pozwolili nam się nudzić. Zadbali o to, byśmy spróbowali specjałów kuchni z różnych stron świata. Zorganizowali nam m.in. „Welcome Party” w meksykańskiej restauracji, gdzie piliśmy margarity i jedliśmy pikantne, meksykańskie tacos i buritto. A wszystko to przy rytmach muzyki na żywo (La Bamba, Guantanamera czy La Cucaracha) w wykonaniu prawdziwych El Mariachi.

Saloon i dylizanse

Bardzo często wychodziliśmy do pubów, kowbojskich dyskotek, na imprezy studenckie. Podczas pierwszego weekendu zwiedziliśmy Wielki Kanion, który zrobił na nas ogromne wrażenie. Stamtąd pojechaliśmy do Flagstaff i Sedony – miasta położonego na czerwonych skałach, gdzie w górskim potoku zjeżdżaliśmy po śliskich skałach (Slide Rock). Mieliśmy także możliwość zjechać pod ziemię i zwiedzić kopalnię miedzi w Bisbee – uroczym miasteczku położonym przy granicy z Meksykiem. Podczas jednej z wycieczek przenieśliśmy się w klimat Dzikiego Zachodu. W miasteczku Tombstone, podobnie jak na scenach z westernu, jeździły po ulicach dylizanse,

a w saloonach pełno było prawdziwych kowbojów. Codziennie w południe rozgrywał się tam rewolwerowy pojedynek z udziałem postaci, które objęte były listem gończym (informowały o tym rozwieszane plakaty). Za drobną opłatą można było stać się posiadaczem takiego plakatu z umieszczoną na nim własną podobizną, a nawet odsiedzieć kilka minut w miejscowym więzieniu na posterunku szeryfa. Nawet miejscowa apteka była ustylizowana na wzór Dzikiego Zachodu, ale jak sprawdziliśmy fachowym okiem, leki w niej nie pochodziły z tak odległych czasów.

Poligloci!

W ciągu następnych dni odbyliśmy jeszcze praktyki w aptece ogólnodostępnej i klinice leczenia osób chorych na HIV. Przeszliśmy również przyspieszony kurs języka chińskiego oraz japońskiego. W imprezie pożegnalnej u dr Katza uczestniczyli bowiem profesorowie z Japonii, Chin i Korei, którzy przebywali w Arizonie na rocznym programie stażowym.

Wśród tylu atrakcji, sierpień minął nam bardzo szybko i nim się spostrzegliśmy nadszedł 4 września i czas powrotu do Polski. W Arizonie spędziliśmy wspaniały miesiąc, nawiązaliśmy nowe znajomości, zwiedziliśmy interesujące i piękne miejsca. Były to niezapomniane cztery tygodnie, pełne nowych wrażeń i wyzwań. Jeśli ktokolwiek będzie miał okazję odbycia praktyki w Arizonie – nie wahajcie się! Gorąco polecamy... a za upalnym klimatem Arizony bardzo tęsknimy w pochmurne i chłodne jesienne dni.

**Beata Karpiuk
Darek Rożkiewicz**

ŻYCIĘ Z PIEPRZEM... ŻYCIĘ Z PIEPRZEM... ŻYCIĘ Z PIEPRZEM...



ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR... ON AIR...

FARBEN LEHRE – „PUNKY REAGGE LIFE”

„Muzyka **FARBEN LEHRE** jest energiczna, melodyjna, pełna radości grania i wolna od kompleksów. Ostre, ale przystępne dźwięki oraz garść szczerych słów stanowią próbę duchowego porozumienia się z drugim człowiekiem. Muzycy nie ukrywają swoich fascynacji twórczością: **SEX PISTOLS, RAMONES, CLASH, POGUES, DEAD KENNEDYS, BAD RELIGION, RANCID, GREEN DAY, SKA-P, UKRAINIANS, U2, CLAWFINGER**, pamiętając o **NIRVANIE, R.E.M., NEW MODEL ARMY** czy **ROLLING STONES**. Ważniejsze utwory **FARBEN LEHRE** to: „Helikoptery”, „Egoiści”, „Nierealne ogniska”, „Handel”, „Nowy dzień”, „Rozkołysanka”, „Wiecznie młodzi”, „Matura 2001”, „Pozytywka” czy „Judasz”” – cytat z oficjalnej strony zespołu, a jak jest naprawdę?

Z **Wojtkiem Wojdą** rozmawiał **Konrad Wilczyński**, *SCR „Radiosupel”*

Konrad Wilczyński: Jak wrażenia po ostatnim koncercie w klubie „Gwint” i jak oceniasz tutejszą publikę?

Wojciech Wojda: Ostatni koncert w Gwincie odbywał się w ramach trasy „Punky Reggae Live”. Ta trasa ma to do siebie, że frekwencję na koncertach budują trzy, cztery występujące kapele. Zatem sala „Gwintu” była wypełniona. Przy takiej wypełnionej sali koncerty gra

się lepiej niż w momencie, kiedy są jakieś puste przestrzenie. Mogę powiedzieć, że jeśli chodzi o koncerty „Punky Reggae Live”, które zagraliśmy w Białymstoku, to trzeci – ten ostatni – był najlepszy i najmilej go wspominamy. Natomiast, jeśli chodzi o występy w Białymstoku, to było ich więcej. Kiedyś, w roku 1992 bodajże, graliśmy w „Gwincie” na korytarzu, z zespołem Post Regiment. Graliśmy też w takim klubie – „okrągłaku” i to było dziesięć lat temu. Dzisiejszy koncert będzie szósty albo siódmy w historii Farben Lehre w tym mieście.

„Muzyka **FARBEN LEHRE jest energiczna, melodyjna, pełna radości grania i wolna od kompleksów”, to jest cytat z Waszej strony.**

Historię, która jest na naszej stronie, pisał płocki poeta, Marek Grała, który jest przy okazji moim kolegą, więc niektóre poetyckie sformułowania nie wychodzą spod naszej ręki. To jest jego punkt widzenia, my się z tym zgodziliśmy, stąd też taka historia na stronie.

Opisz w trzech słowach muzykę, którą gracie, osobie, która Was nigdy nie słyszała.

W trzech słowach? Punky, reggae, life, czyli trochę muzyki punkowej, muzyki reggae i dużo grania żywego, energetycznego, które najlepiej się sprawdza na koncertach.

Skąd czerpicie inspirację? Muzyka jest składową pomysłów grupy czy obowiązuje dyktatura?

Z tym bywało różnie. W chwili obecnej pomysły muzyczne przynosi głównie mój brat Konrad, który jest





Konrad Wilczyński i Wojtek Wojda.

głównym kompozytorem utworów Farben Lehre, i na próbie je obrabiamy. Czasami jest tak, że podaję mu linię melodyczną, pomysł na utwór i on też go potem obrabia. Następnie kolektywnie pracujemy na próbie, robimy materiał na płytę. Płyta „Zdrada i insekty” była praktycznie moja autorska. Równie dobrze mogła się nazywać „Wojtek Wojda i Farben Lehre”, materiał muzyczny bowiem w stu procentach sam wymyśliłem. Po tej płycie stwierdziłem, że co miałem do powiedzenia, to powiedziałem. Warto trochę świeżych elementów dać do muzyki i stąd dzisiaj ja głównie zajmuję się tekstami.

Jak ocenisz dzisiejszą młodzież muzyczną? Zespoły Hap-pysad i inne, z którymi grałeś, czy nadal to jest aktualne, że artyści to jedna wielka rodzina?

Czasy są dzisiaj inne niż dwadzieścia lat temu. Kiedyś znacznie lepiej funkcjonowały wzajemne relacje między zespołami. Piętnaście czy dwadzieścia lat temu, gdy był wspólny wróg – komuna – zespoły stawały po jednej stronie barykady. Wtedy rodzinne relacje, o których mówisz, były bardziej czytelne i wyraźne. Nie było problemu z pożyczaniem czy pomocą. Natomiast wśród fanów były podziały. Telewizja tworzyła subkultury, próbowano podzielić młodych ludzi, po to, by nie stanowili jedności. Objawiało się to tym, że na koncertach w latach 90-tych, było bardzo dużo agresji. Dzisiaj jest odwrotnie. Na przykład możliwy jest wspólny koncert zespołu Dezerter i Kat, wyobrażalne jest wreszcie zrobienie trasy „Punky Reggae Live”, którą ja robię od czterech lat. Kapele z nurtu reggae czy ska grają z kapelami punkowymi i jakoś jedno drugiemu nie wadzi ale, kiedyś między zespołami było większe braterstwo. Dzisiaj jest więcej zawiści, zazdrości i czasami takich niesmacznych relacji. Natomiast, jeśli chodzi o publiczność, to dzisiaj jest ona znacznie lepiej poukładana, stąd też sukces takich imprez jak „Przystanek Woodstock”. Kiedyś „Jarocin” kończył się zadymą, a dziś na przystanku jest dwadzieścia razy więcej ludzi i jest spokój.

Skąd się wzięła nazwa zespołu?

Nazwa zespołu jest wypadkową burzy mózgów, którą zrobiliśmy w 1986 roku z Markiem Knapem, z którym zakładałem zespół. Kiedy zakładaliśmy kapelę, mieliśmy kartkę ze stoma nazwami i w wyniku selekcji, obaj uznaliśmy, że najlepszą nazwą była właśnie Farben Lehre. Nazwa w historii pojawiła się wcześniej u Goethego. Przyznaję jednak, że Farben Lehre zaczerpnęło nazwę z Tuwima. Pisząc „Kwiaty polskie”, jeden z fragmentów autor pozwolił sobie nazwać farben lehre. Chodzi o ten fragment, w którym opisywał krajobraz po rewolucji w 1905 roku w Łodzi. Istotą rzeczy jest, że Farben Lehre prawidłowo pisze się razem i my to wiemy. Nie popełniamy nieświadomie błędu ortograficznego. Nie podobała nam się pisownia razem i w tym układzie jedyne, co mogliśmy zrobić, to pisać ją oddzielnie

Co robicie w wolnych chwilach po koncertach? Jakiej jest Twoje hobby, Twoje zainteresowania?

Kiedyś mówiłem, że albo muzyka, albo fabryka. Dążymy do tego, żeby zespół Farben Lehre mógł powiedzieć, że muzyka jest tym, czym zajmujemy się na co dzień. To jest nasze zajęcie, poniekąd nasza praca, przyjemność, satysfakcja. Latami to się nie udawało, a od kilku lat udaje. Cieszę się, że możemy powiedzieć, że nasza praca sprawia nam dużo satysfakcji i przyjemności. Robimy to, co lubimy. Praca wymaga jednak poświęcenia. Ja prowadzę stronę internetową i jestem managerem zespołu. Szczerze mówiąc, na hobby i przyjemności mam mało czasu, ale kręcą mnie podróże – odkrywanie nowych przestrzeni życiowych. Stwierdziłem, że na książki będę miał jeszcze czas, dlatego też mało czytam, ale dobrym filmem, na przykład „Braveheart”, „Pulp Fiction” czy „Ojciec Chrzestny”, nie pogardzę.

Jak wspominacie studia?

U nas w zespole mój brat – Adam Mikołajewski i Konrad liznęli studiów, ale ich nie ukończyli. Każdy z nich studiował na politechnice. Ja studiowałem przez pięć lat na Uniwersytecie Warszawskim, w czasach burzy i naporu, czyli w latach 1985-1990. Studia, niestety, kojarzą mi się głównie z piciem i z zabawami. Mówię „niestety”, ponieważ chciałbym udzielić odpowiedzi górnolotnej. Studia to piękne chwile, ale najwięcej wódki. Nie zmienia to faktu, że moimi wykładowcami byli tacy ludzie jak profesor Samsonowicz czy Lech Falandysz. Uważam, że to wyjątkowe jednostki. Nie to, że wiele się nauczyłem, ale wiele satysfakcji czerpię z tego, że mogłem uczestniczyć w wykładach np. prof. Falandysza, którego uważam do dzisiaj za najlepszego polskiego prawnika ostatnich trzydziestu lat w Polsce.

Wywiad przeprowadzono 8 grudnia 2006.



NOWOROCZNE FAKTY SPORTOWE

SPORT... SPORT... SPORT... SPORT... SPORT...

W 2007 rok weszliśmy milowym krokiem i mamy nadzieję, że „w rozkładające się właśnie skrzydła zawieje wiatr pomyslności”. Olbrzymim sukcesem jest bowiem fakt, że reaktywowany Klub Uczelniany Akademickiego Związku Sportowego (KU AZS) doczekał się siedziby, nowego regulaminu, zarządu i pełnych werwy, gotowych do stawienia czoła trudnościom członków. Z pewnością Waszej uwadze nie umknął także nowy image naszych gablot informacyjnych. W DSI (obok sali sportowej) możemy śledzić np. aktualne składy drużyn i sekcji sportowych, godziny treningów itp. Natomiast w gablotach na hali sportowej AM w niedługim czasie pojawiają się kolejne niespodzianki. Z góry serdecznie zapraszam do śledzenia zamieszczanych w nich informacji. Dla bardziej zainteresowanych polecam stronę internetową KU AZS, poświęconą sekcjom i ciekawostkom dotyczącym sportu akademickiego (www.amb.edu.pl) —> Dział Spraw Studenckich —> Organizacje Studenckie —> AZS).

Akademickie Mistrzostwa Polski w Koszykówce

KU AZS jest organizacją tworzoną głównie przez studentów i dla studentów. Aczkolwiek wielkie podziękowania, za wkład wnoszony w funkcjonowanie klubu należą się przede wszystkim pracownikom naszego

Studium Wychowania Fizycznego i Sportu: mgr Jolancie Tobisz oraz mgr. Krzysztofowi Zadykiewiczowi. To właśnie dzięki ich pomocy, wsparciu i doświadczeniu możliwa jest realizacja naszych pomysłów. Przekłada się to m.in. na możliwość organizacji wielkiej i prestiżowej imprezy, jaką są Akademickie Mistrzostwa Polski w koszykówce. Reprezentacje poszczególnych uczelni medycznych zawitają do nas już w kwietniu (19-22.IV.2007 r.). Osoby zainteresowane pomocą techniczną (pomiar 24 sekund; opieka nad przyjezdną drużyną, odbiór z dworca, wskazanie drogi do miejsc zamieszkania itp.) proszone są o kontakt (nr gadu-gadu KU AZS 8460292). Mamy nadzieję, że mecze będą rozgrywane przy pełnych trybunach kibiców i przy maksymalnym wsparciu ze strony studentów naszej uczelni.

Zimowa Runda Ligi Akademickiej

Ku końcowi dobiega również zimowa runda ligi akademickiej. Pełne zestawienie wyników poszczególnych spotkań ukaże się w następnym numerze „Młodego Medyka”. Jednakże na uwagę zasługuje zwycięstwo naszych koszykarek nad zespołem z WSWFiT-u w Supraślu (56:43). Mam nadzieję, że sukcesy odnoszone w meczach ligowych przełożą się także na te rozgrywane w ramach AMP-ów. Tego też nam i uczelni życzę w Nowym Roku 2007.

Marta Marcinkiewicz



Sekcja żeńska koszykówki.

The history of the paper-clip!

The lies and roomers around it



Johan Vaaler, born in Aurskog, Norway, 15th of March 1866, has wrongly been given the honours of being the inventor of the original paper-clip. He got patent in Germany in 1899 and USA in 1901 on a similar paper-clip. But the paper-clip he had a patent on was less functional, because it had one round of steel wire less. It never came in production because a better version already existed, even though this wasn't known for Vaaler and Norwegian consumers. In the future the Norwegian had made a national myth about the paper-clip as a Norwegian invention, and the myth had found its way to international literature.

reason is pretty clear – it was just not practical in use. Without the last round of steel that you see in the fully developed paper-clip today, it was useless. You can try it yourself. Cut away the last circle in a paper-clip and try to use it!

The first patent that was granted for a paper-clip was to a man named Samuel B. Fay in USA in 1867. It was originally meant to fasten paper markings to fabric, but was also marketed as a paper-clip.

Vaaler's reputation as the father of the modern paper-clip had also spread far beyond the Norwegian borders, and especially in USA. Though due to newer research



How Vaaler got the patent in USA and Germany when a better paper-clip already had a patent and was in production is not clear, but most likely the patent agency was very liberal and granted the patent to every little “offspring” to a previous invention.

Why didn't he apply for patent in Norway? In all the Norwegian literature about the paper-clip you can read that Norway didn't have any patent law at that time, and that he therefore had to apply elsewhere. But this is a myth as well. The Norwegian patent office came into effect already in 1885. As an employee at Bryns patent office, Vaaler must have known this. But he had probably a strong belief on his invention, that he wanted to get his rights international, and he had probably experienced that it was difficult to make a brake-through in his home country.

The Vaaler paper-clip never came into production. The patent was allowed to expire in all its silence. The

by Henry Petroski and others, many web sites present Vaaler as the true inventor of the modern paper-clip. In later times the myth had grown even bigger. At a school in Tennessee the 8th graders were learning about the murder of 6 million Jews under World War II. To illustrate this number they wanted to collect the same amount of a small object, and they decided that small object to be the paper-clip! From a Norwegian point of view, it is interesting that they chose the paper-clip “after they learned that Norwegians wore them on their clothes to show support for Jews during WWII.” On another web page you can find: “That the symbol of resistance originally honoured Johann Vaaler, the Norwegian Jew who invented the paper-clip.”

Don't believe everything you read on the internet!

Espen Presthus
Norwegian

ENGLISH CORNER... ENGLISH CORNER...



The Path of Enlightenment

ENGLISH CORNER... ENGLISH CORNER...

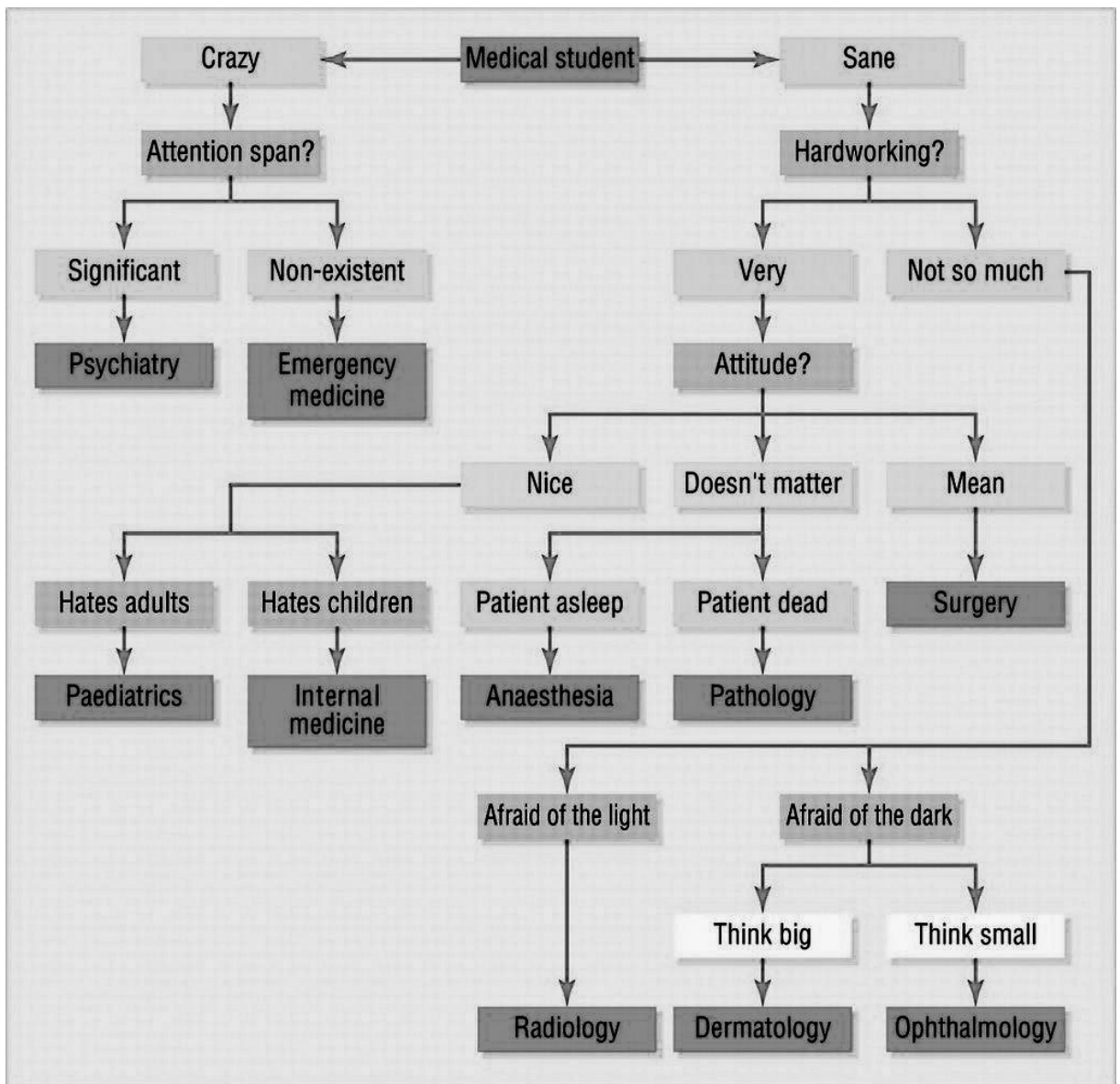
There comes a time in each medical student's career when he or she must decide on their future. This is usually at the end of a grueling 6 or 4 year program (depending on continent). The student, now doctor, wonders what specialization should they pursue? Should they devote their lives to healing bratty little kids who would stick a needle in their physician's eye the first chance they would get? Or should they opt for the adults that always come in armed to the teeth with knowledge about their sickness that they searched up on the mighty interweb? Would

you want to sit in a lab all day looking at pictures or be called a butcher? Etc, etc...

Unfortunately one can only decide for him/herself where to start rotting away...ahem, practicing. But wherever it is, be glad that it's for the greater good and somebody (hopefully) is bound to be affected in a positive way because of it, maybe even saved.

I hope the following diagram is of some help.

Mark Klukowski
2nd Year Eng. Div.



Path of a doctor.



WYRÓŻNIENIE



w Konkursie



„DOM 2006” o Kryształową Cegłę

na

NAJLEPSZĄ INWESTYCJĘ BUDOWLANĄ
PO OBU STRONACH WSCHODNIEJ GRANICY UE

dla

Akademia Medyczna
ul. Kilińskiego 1, Białystok

za: Akademyka Zwierzętarnia Doświadczalna
Akademii Medycznej w Białymstoku
ul. M. Skłodowskiej - Curie 24A, Białystok

w kategorii: OBIEKTY NAUKOWO - DYDAKTYCZNE

Organizator:
Polskie Towarzystwo Mieszkaniowe
Oddział w Lublinie

Prezes PTM
Kazimierz Widysiewicz

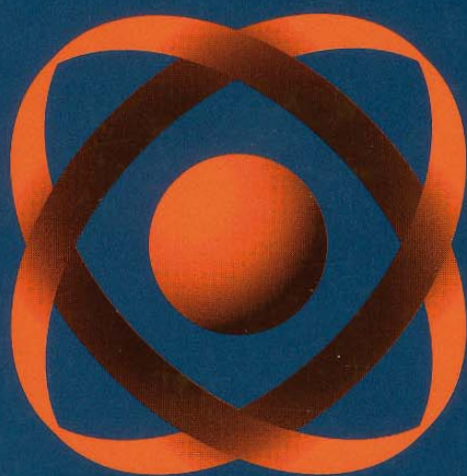
Prezydium Kapituły Konkursu:

Przewodnicząca
Elżbieta Mącik

Lublin 2006

WŁADYSŁAW GAŁASIŃSKI

CHEMIA MEDYCZNA



PODRĘCZNIK DLA STUDENTÓW MEDYCYNY



WYDAWNICTWO LEKARSKIE PZWL